Zeszyt 9. Lwów dnia 20. Marca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata
kwartalnie 3 złr. = 6 mark.
półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi
dnia 1go, 10go i 20go
każdego miesiąca.

W. Maniecki
Wydawca i odpowiedz. za Redakcją
we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XXVII.

(C. d.) Kapitan wydał rozkazy, ściągnięto kotwicę, ostatnie żagle rozpuszczono i okręt kołysząc się na prawo i lewo z portu wypłynął.

Na pokładzie stał pan Stanisław Wybicki z Wandzią; obok nich siedział Bolcio. Wszyscy spoglądali na ziemię, którą żegnali na wieki. Wieczór zapadał. Po firmamencie czerwonym, gorącym, bez chmurki, krwawa tarcza słoneczna zsuwając się coraz niżej oświetlała meczety, świątynie, pagody i kościoły, porozrzucane między kamienicami Bombaju; ostatniem promieniem żegnała palmy rosnące nad brzegiem morza, czerwonym blaskiem oblewała białe żagle okrętów stojących w porcie na kotwicy i jasne szlaki znaczyła za łódkami krajowców, którzy uwijali się jak mrówki, to łowiąc ryby, to zwożąc ostatnie towary na okręty, to je odwożąc do miasta.

Przed nimi było całe bogactwo świata i raj obiecany — za nimi szklista powierzchnia Oceanu; a za Oceanem i krajami innemi był gdzieś biedny zakątek, do którego oni spieszyli. Co ich tam ciągnęło? A czemu bocian z gorących stref wraca na północ do swojego gniazda? Serce człowieka to księga, którą sam Bóg zapisał; On też tylko jeden umie ją dobrze odczytywać.

Płynęli, żegnając tę ziemię, na której tyle lat spędzili, gdzie spoczywały zwłoki ich matki i żony. Poświęcona mogiła i krzyż w nią wetknięty, oto jedyna pamiątka, która po nich została i o której teraz myśleli...

Ojciec płynął, bo go uczucie ciągnęło pod strzechę ojczystą; córka opuszczała Indje bez żalu głębszego, bo gdzie jej ojciec i brat byli tam był jej świat cały, a oprócz tego Indji nie uważała ona nigdy za swoją ojczyznę; Bolcio zaś nie płakał boć on płakać nie umiał! Obojętny na wszystko, szedł za wolą drugich, nie mając sam żadnych żądań, żadnych pragnień.

Gdy ze zmrokiem zapadającym majtkowie, a za ich przykładem wszyscy podróżni do modlitwy wieczornej uklękli, okręt był już na pełnem morzu. Dzięki wiatrom sprzyjającym pruł on szybko fale szafirowe, unosząc ich w kierunku Afryki. Gdy po modlitwie powstawali, brzegi indyjskie były już tylko widne jak smuga czarna. Wtedy Wybicki westchnął, a ująwszy dzieci za ręce zszedł z niemi do kajuty.

Okręt na którym nasi znajomi płynęli, był to żaglowiec kupiecki wożący z Indji towary do Europy. Ponieważ kapitan, Francuz, był zarazem jego właścicielem, więc ilekroć mógł, zabierał podróżnych, co jednak rzadko się zdarzało, każdy bowiem starał się już wtedy odbywać dalsze podróże na statkach parowych. Wyjątek stanowili wielcy biedacy, dla których żaglowce jako bardzo tanie były przystępniejsze. Kapitan woził też zawsze samych biedaków i ani mu przez myśl nie przeszło, by na pokładzie swojej „Henrietty“ miał kiedyś pasażerów tak dystyngowanych jak pan Wybicki i jego rodzina. Nie trudno odgadnąć dla czego pan Stanisław wybrał okręt żaglowy. Prągnąc by synowi podróż jak najlepiej posłużyła, postanowił zostać na morzu jak najdłużej, co jedynie na żaglowcu było możliwe. Nie mniej przez wzgląd na nerwy Bolcia bał on się hałasu i

wrzawy jaka panuje na wielkich parowcach przewozowych. „Henrietta“ była łagodna, cicha, bo prócz jednego kapitana nikt na niej nie krzyczał. Ten zaś ku powszechnemu zadowoleniu rzadko się odzywał, spędzając jedną dnia połowę przy butelce, drugą w kajucie chrapiąc w niebogłosy.

Dzień po dniu mijał nie przynosząc żadnej odmiany, żadnych wrażeń. Dzięki wiatrom ciągle sprzyjającym, okręt płynął szybko a bezpiecznie, mijając tysiące wysp mniejszych, które z głębi Oceanu wynurzały się jak oazy z piasków Sahary; witając i żegnając bądź banderą bądź wystrzałami z dwóch małych armatek, które były na pokładzie, setki okrętów krążących w kierunkach rozmaitych; nie odpoczywając dniem ni nocą, chyba że kapitan potrzebował wstąpić do jakiego portu, aby nabrać wody, zakupić mięsa świeżego i odebrać listy jeżeli go tam jakie czekały.

Wandzia spędzała czas z książką w ręce; Bolcio siedząc na pokładzie dumał z oczyma w przestrzeń zapatrzonemi. Czy pobyt na pełnem morzu wzmacniał jego nerwy, trudno było powiedzieć, chociaż tak siostrze jak ojcu zdawało się, że chłopiec lepiej teraz wygląda, ma oczy weselsze i jé z większym apetytem. Ataki nerwowe także rzadziej się powtarzały; ostatnie, najgwałtowniejsze, nastąpiły zaraz po chorobie morskiej, którą prócz załogi i kapitana wszyscy przebywali. Wtedy z Bolciem tak źle było, że kapitan zaczął żałować czemu go przyjął na swój okręt, nie zasięgnąwszy poprzednio zdania lekarzy. Kapitan Ferrier nie lubił mieć chorych na „Henriecie“, sam bowiem był zdrów jak wieloryb, a jego ludzie jak delfiny. Po kilku dniach ustały jednak ataki, kończące się zawsze dłuższem albo krótszem drętwieniem całego ciała, poczem widok Bolcia nie przejmował już strachem kapitana.

Wybicki czytał wiele, chociaż większą dnia połowę spędzał w towarzystwie kapitana lub na rozmowie z majtkami Ci ludzie obrośnięci, od słońca opaleni, z piersiami obnażonemi, z ramionami na których ścięgi były grube i silne jak te linewki, które żagle naprόżno zerwać usiłowały; ci ludzie wdzierający się jak koty na maszty i patrzący się każdemu niebezpieczeństwu śmiało w oczy, prawie zawsze pijani a jednak zawsze trzeźwi, ci ludzie przejmowali go szacunkiem i podziwieniem. W nich widział bohaterów prawdziwych, bo tylko oni jedni nie wiedzą co trwoga! I tem większą czuł dla nich sympatję, że mimo tak dzikiego wyglądania, każdy miał serce tkliwe i czucie delikatne. Z uprzejmością, Francuzów znamionującą, spełniali życzenia Wandzi, wystrzegając się w jej obecności żartów i przekleństw, które marynarz ma zawsze na ustach. Bolcia zaś pielęgnowali, myśląc o jego wygodach, jakby był ich synem. I dziwić się nie można! Ci ludzie byli sami na morzu, lecz w Hawrze, gdzie „Henrietta“ stawała, każdy z nich miał żonę i dzieci, które tak rzadko widywał, a do których nigdy tęsknić nie przestawał! Obowiązek, który go pędził na morze dalekie, nie zabijał w nim serca; walka z szalejącemi żywiołami nie zabijała w nim człowieka.

Chociaż kapitan, jak każdy dobry marynarz często się upijał, przestrzegał na okręcie porządku, który w rzeczy samej był wzorowy. Posłuszeństwo bezwarunkowe, ślepe, było dla tych ludzi pierwszem dogmatem ich wiary żeglarskiej, i jeżeli kiedy zapomnieli o niem to chyba wówczas, gdy który ukradkiem pociągnął z manierki. W tem tylko jednem bezgraniczna władza kapitana okazywała się nie dość silną. Nie pozwalał by jego ludzie zabierali z sobą rum i absynt, bo według zwyczajów, na każdym okręcie przyjętych, marynarze otrzymywali napoje razem z pożywieniem; gdy jednak porcje udzielane im przez szafarza były za małe, każdy więc umiał tak pokierować, że gdzieś w schowku nieprzystępnym miał beczułkę niewielką, z której ciągnął dowoli gdy kapitan nie patrzył. Jak oni ten towar przemycali, zwłaszcza w tych portach gdzie „Henrietta“ nie długo odpoczywała, tylko sami wiedzieli. Była to ich tajemnica stanu.

Zdarzyło się raz — okręt był wtedy poniżej Madagaskaru — że za przykładem pana kapitana cała załoga zbyt głęboko do manierki zajrzała. Nawet sternik, zwykle z wszystkich najtrzeźwiejszy, stał w tym dniu na nogach niezbyt pewnych. Powodem tego była rocznica jakiegoś wydarzenia, które w historji „Henrietty“ i jej załogi należało do świetniejszych. Dzień był bardzo cichy, ale nad wieczorem zerwał się wiatr, który ciągnąc od przylądka Dobrej Nadziei, gdzie okrętom największe grożą niebezpieczeństwa, począł burzyć wodę i statkiem rzucać jak piłką. Trzeba ich było wtedy widzieć! W mgnieniu oka wszyscy byli na stanowisku, trzeźwi, przytomni, nieustraszeni, a potężny głos kapitana wydającego rozkazy, jak grzmot warczał wśród burzy. Podróżni widząc to pozbyli się trwogi i każdy chętnie pomagał jak umiał.

Innym razem — „Henrietta“ była już wtedy na wysokości Gwinei — majtek siedzący w koszu na głównym maszcie, zawołał przez tubę, że na widnokręgu pojawił się jakiś okręt podejrzany, który w ciągu godziny kilka razy zmienił banderę. Jak się później okazało, byli to korsarze marokańscy, którzy polowali na mniej obronne lub ostrożne statki kupieckie. W pięciu minutach załoga, acz podochocona, stała na pokładzie z bronią nabitą, spokojna i przytomna jak żołnierze przed wodzem; kapitan zaś z szafarzem, który słynął z celnych strzałów działowych, za-

jęli stanowiska przy armatkach nabitych kartaczami. Kapitan patrzył przez lunetę, szafarz trzymał lont zapalony. Korsarze podpłynęli trochę bliżej, lecz trzymając się w takiem oddaleniu, by ich największe nawet działo nie mogło dosięgnąć, potem okrążyli z boku „Henriettę“, śledząc uważnie jej ruchy. Przekonawszy się jednak że atak na okręt uzbrojony, który ma załogę na wszystko przygotowaną, byłby dla nich samych najbardziej niebezpiecznym, odpłynęli coprędzej ku brzegom afrykańskim.

Tak mijały tygodnie, miesiące.

W pobliżu wysp Kanaryjskich, z których atoli jeszcze żadnej nie można było dojrzeć na widnokręgu, wstrzymała ich cisza morska.

Okręt, który płynął swobodnie, jakby zaklęty rozkazem siły niewidzialnej, stanął nieruchomy. Żagle opadły mu żałośnie, linewki obwisły. wesołe krzyki marynarzy ucichły. Wiecznie ruchoma powierzchnia Oceanu nie miała teraz jednej zmarszczki; firmament zaś szafirowy zamykał się nad wodą jak wieko trumny olbrzymiej. Wśród tej ciszy bezdennej, nie zamąconej ani fal szumem, ani wiatru świstem, ani ptaka lotem, było wszystkim tak straszno jakby stanęli u kresu swojego żywota. Dopiero teraz mógł się każdy przekonać, że gdzie nie ma ruchu tam nie ma życia.

Wybicki był zaniepokojony — Wandzia przerażona. Bolcio natomiast uśmiechał się do siebie a stojąc całemi godzinami na pomoście sternika, który z innymi marynarzami spał pod pokładem, rozglądał się w koło z zadowoleniem. Nawet rumieniec, którego oddawna na jego twarzy nie było, teraz się pojawił.

— Jak mi teraz dobrze! — przemówił gdy siostra obok niego stanęła.

— Doprawdy? — zapytała Wandzia.

— O tak! bardzo mi tu dobrze.

— A nas przeciwnie ta cisza przeraża. Pan kapitan mówił tatkowi, że to może potrwać dzień, dwa, może nawet dłużej,..

— Dzięki Bogu! — zawołał Bolcio uradowany. — Ja tak lubię tę ciszę, że gdybym mógł chętnie bym się w niej rozpłynął... Bo i powiedz mi Wandziu, co warte to życie? Ile to przykrości nasz tatko wycierpiał... ile nieszczęść go spotkało, mimo że taki dobry. Nie warto żyć Wandziu, nie!

— Bolciu! nie mów tak, bo to grzech!

— Nie bój się Wandziu, ja sobie śmierci nie przepowiadam... Ja jeszcze będę żył... nie długo, ale będę... Przecie muszę zobaczyć Wawel, o którym tatko tyle nam mówił i groby królewskie, gdzie także ma być bardzo cicho... A potem... potem...

— Cicho, Bolciu cicho! tatko idzie — zawołała Wandzia bojąc się by brat znowu nie zaczął majaczyć. Wszak nie zapomniała dwóch jego przepowiedni, których on nie przypomniał sobie, a które niestety tak dosłownie się sprawdziły.

Gdy ojciec z kapitanem stanęli przed młodymi ludźmi, Francuz siadając obok Bolcia w te słowa przemówił:

— Jak widzę, pan tylko jeden rozmiłowałeś się w tej ciszy, której my tak nienawidzimy, że gdybyśmy mogli, pewnie byśmy ją całą przespali.

— Rzeczywiście, ona mi się bardzo podoba.

— Jeżeli tak, to może byś pan został na moim okręcie. Podróżując ciągle na „Henriecie“ zaznałbyś nieraz tej przyjemności.

Ojciec i Wandzia wiedzieli, że kapitan, który do nich przylgnął i którego oni polubili, zaczyna żartować; przeciwnie Bolcio był pewny, że Francuz mówi całkiem serjo. Spojrzał na niego, potem na ojca i siostrę i pokręcił głową.

— Więc zgoda? — pytał kapitan.

— Nie!

— Czemu?

— Bo to co się ma stać, stać się musi...

— Ależ pan mówisz tajemniczo jak wróżbiarka starożytna — zawołał kapitan żywo.

— Chciałem powiedzieć — tłumaczył się Bolcio — że ja tam muszę pojechać, gdzie umierać będę.

— Trudna z tobą rada, mój chłopcze! — wmięszał się ojciec; — ty ciągle mówisz o rzeczach smutnych, jakbyś był starcem zgrzybiałym. Wandziu, zostań z nim... może go rozweselisz.

Rzekłszy to wziął kapitana pod ramię i przeszedł na drugi koniec okrętu, gdzie zaczął o Bolciu rozmawiać. Poczciwy Francuz przywiązawszy się już do rodziny Wybickiego, z którą od tylu miesięcy dzielił przyjemności i niebezpieczeństwa podróży, radził mu jak brat, aby w Paryżu wezwał najznakomitszych lekarzy specjalistów, którzy badają i leczą choroby nerwowe. Pan Ferrier znał wszystkich osobiście i pamiętał ich adresy, żona jego bowiem, która go przed pięciu laty odumarła, cierpiała także na nerwy. Wybicki podziękował za uprzejmość i adresy w książeczce zapisał.

Trzeciego dnia cisza morska ustała i „Henrietta“ zatrzepotawszy żaglami, jak ptak gdy się do lotu zrywa, pomknęła po kryształowej wód toni.

Gdy szczęśliwie w Hawrze stanęli, kapitan zaprosiwszy przed samem rozstaniem Wybickiego do swojej kajuty rzekł:

— Zanim się rozłączymy, musimy wpierw załatwić nasze rachunki.

— Rachunki? — powtórzył ze zdziwieniem — miałżeż bym jeszcze być co dłużnym?

— Nie pan mnie, lecz ja panu...

— Pan mnie?... Zaiste nie rozumiem.

— Obecność pańska i twoich dzieci na moim okręcie była dla mnie szczęściem prawdziwem, pierwszy bowiem raz wyznaję, że z Indji do Europy ani chwili się nie nudziłem. Teraz łatwo mnie pan zrozumiesz, jeżeli powiem, że trudno, bym za tę przyjemność kazał sobie płacić.

Mówiąc to, położył przed Wybickim te same pieniądze, które tenże zapłacił mu w Bombaju w dzień odjazdu. Polak odsunął ręką złoto, lekko się rumieniąc

— Daruj kapitanie, — rzekł, — ale ja tego podarunku nie mogę przyjąć. Przecie te pieniądze są wynagrodzeniem za podróż i nasze utrzymanie na okręcie.

— Ja zaś panu oświadczam, że ich nie wezmę! Mój okręt wozi bawełnę i herbatę, a na podróżnych wcale nie liczy! Pan jesteś biednym tułaczem i masz syna chorego, więc chyba więcej potrzebujesz niż ja, który jestem sam na świecie.

— Czy mam to uważać za jałmużnę? — zapytał Wybicki głosem drżącym; w biednym tułaczu odezwał się szlachcic polski.

Francuz stanął przed swoim gościem i śmiało mu w oczy spojrzał. Potem rzekł:

— Jeszcze raz powtarzam panu, że zapłaty za podróż nie przyjmę i jeżeli mnie dłużej będziesz niecierpliwił to...

Tu zaklął tak głośno a straszliwie po marynarsku, że aż stołki w kajucie zadrżały.

— A ja panu oświadczam — odpowiedział Wybicki spokojnie — że jeżeli mnie dłużej będziesz znieważał, to rad nie rad będę zmuszony żądać od pana zadośćuczynienia.

— Dobrze! doskonale! choćby zaraz... Na co pan chcesz, na szpady, pistolety, może na armaty, wszystko mi jedno! A to mi się podobało, żeby tu, na moim okręcie, ośmielił mi się ktoś swoją wolę narzucać. Ja tu rozkazuję, ja!

Mówiąc to biegał po kajucie zasapany pot z czoła ocierając. Po niejakim czasie, gdy się trochę uspokoił, stanął znowu przed Wybickim i tak przemówił:

— Widać żeś pan długo żył z Anglikami, kiedy nie przypuszczasz, by jeden człowiek dla drugiego mógł coś z serca uczynić. Ja panie jestem sam, żona mi umarła, dzieci nie mam... pracuję aby żyć, żyję aby pracować... komuż zostawię i to co zarobię? Chyba obcym ludziom. Pan mi jesteś także obcym, lecz poznałem cię jako człowieka zacnego i nieszczęśliwego, bo prawdziwie nieszczęśliwymi są najczęściej tylko zacni... dla czegoż pytam, nie mam panu zrobić grzeczności, która mnie nic nie kosztuje? Alboż pan sam, jeślibym do niego kiedy przyjechał, chociaż to trudno... bo ja jeno po morzu umiem podróżować, nie odesłał byś mnie swojemi końmi o jakie mil dziesięć lub piętnaście? Widzisz pan, mnie okręt nawet tyle nie kosztuje co konie, bo tamte jeść potrzebują, a tu wiatr poczciwy sam wszystko prowadzi... Przyjm więc panie Wybicki, przyjm tę drobnostkę i abyś nie myślał że to jałmużna, wszystkim których przywiozłem, oddam dziś pieniądze. Mnie to sprawia przyjemność, zrób pan to dla mnie, proszę cię!

W głosie Francuza tyle było rzewności, że Wybicki całkiem rozbrojony na szyję mu się rzucił. Marynarz ściskając go niedźwiedziemi ramionami, zawołał z radością:

— To mi się podoba! Widać że masz serce kiedyś serce zrozumiał. Bądź zdrów panie Wybicki i dałby Bóg, żeby ci syn prędko wyzdrowiał, a panna Wanda znalazła męża poczciwego. Jeżeli zaś przypadkiem przeczytasz w jakim dzienniku, że „Henrietta“ zginęła lub Ferrier sam utonął, westchnij za jego duszę!

Jeszcze raz uścisnęli się i rozstali jak bracia. Na pokładzie wszyscy majtkowie żegnali Wybickiego i jego dzieci jak najlepszych przyjaciół.

XXVIII.

We Francji nasi znajomi nie zabawili długo. Wybicki dowiedziawszy się od rodaków, których tam spotkał, że do kraju bez trudności może powrócić, spieszył się bardzo by jak najprędzej strony ojczyste powitać i brata uściskać, o którym wiedział że żyje. Wprawdzie ostatni list od Ludwika otrzymał jeszcze przed rokiem, lecz za to szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jadąc koleją z Hawru do Paryża, poznał przypadkiem pewnego komiwojażera, który z winami szampańskiemi jeździł po całym świecie. Ten, gdy się zgadało o Polsce, oznajmił, że z Warszawy wrócił dopiero przed miesiącem; gdy zaś pan Stanisław zapytał, czy nie był przypadkiem w Radomskiem i czy tam pana Ludwika Wybickiego nie poznał, komiwojażer odrzekł, że wspomniany obywatel należy oddawna do jego największych odbiorców, sam jeden bowiem rok rocznie więcej wina potrzebuje niż cała jego okolica, która słynie ze skąpstwa. Wprawdzie w ostatnich dwóch latach zamówienia pana Wybickiego zmniejszyły się o połowę, w każdym atoli razie są jeszcze bardzo znaczne. O tem, że brat ożenił się i nie miał dzieci, pan Stanisław wiedział z jego własnych listów.

Wiadomości, przez komiwojażera udzielone, miały dla pana Stanisława tylko tę wartość, że z nich przekonywał się dowodnie, iż panu Ludwikowi dobrze się powodziło. Kto wina szampańskie z Francji sprowadza, ten musi mieć znaczne dochody. Bo i dla czegoż by ich nie miał! Majątek przez rodziców synom zostawiony był bardzo piękny i co najmniej mógł nieść

rocznie dziesięć tysięcy rubli, a ponieważ pan Ludwik bratu z jego połowy nic nie posyłał, więc cały dochód obracał na swoje potrzeby. Za to, że Ludwik prócz stu funtów do Londynu później nic już Stanisławowi nie przysłał, ten wcale się nie gniewał. Należał on do tych rzadkich ludzi, przez świat szalonymi nazywanych, którzy najszczęśliwsi są wtedy, gdy żyć mogą z pracy rąk własnych, a że w Indjach nigdy mu długo źle nie było, więc i do brata nigdy o pieniądze nie pisał. Jeżeli kiedy, zwłaszcza w pierwszych latach pobytu w Kalkucie, bieda zanadto mu dokuczyła, tak sobie myślał:

— Jak mu napiszę o pieniądze, to ledwie za pół roku list odbierze, a chociaż zaraz odpisze i pieniądze wyszle, ja ich prędzej nie odbiorę jak za nowe pół roku.. Tymczasem moje położenie się poprawi i pieniędzy potrzebować nie będę. Brat zaś zmartwi się niepotrzebnie, bo będzie myślał że ja tu z żoną i dziećmi z głodu umieram. Dam więc pokój... Moja scheda mnie nie minie, a chociaż on dochody z mojej połowy pobiera, ja mu tego za złe nie biorę. Łatwiej mnie tu biedować, gdzie mnie nikt nie zna, niż jemu tam gdzie cały świat na niego patrzy. Zawsze on poczciwy! Alboż nie przysłał mi stu funtów do Londynu, chociaż o pieniądze nie pisałem do niego?

Tak rozumował pan Stanisław i ani mu przez myśl nie przeszło posądzać brata o samolubstwo. Mimo tyloletniego oddalenia, on go zawsze tak jeszcze kochał jak wtedy, gdy wyszedłszy drugi raz z lazaretu pospieszył na kilka dni do domu, by od Ludwika otrzymać błogosławieństwo.

W Paryżu widok rodaków, a między nimi kilku towarzyszów broni, w początkach zbawiennie oddziałał na umysł i usposobienie pana Wybickiego. Aż po ten dzień wiecznie zamyślony, smutny i tak zbolały, że córka sama nie odważała się poruszyć wspomnień przeszłości, by ojca cierpień nie podrażnić, teraz był weselszym, czasem nawet się uśmiechał i głowę zwykle nachyloną śmielej do góry podnosił. Zetknięcie się z ludźmi, którzy jego językiem mówili i z którymi doznawał wrażeń życia obozowego, było w pierwszych dniach jakby napojem cudownym odmładzającym jego duszę. Kilkanaście lat pracy, walki i cierpień na dalekich świata krańczynach był by może całkiem puścił w niepamięć, gdyby nie obraz żony drogiej, który dniem i nocą stawał żywo przed okiem jego duszy. To wspomnienie przygniatało go ciągle i chociaż twarz czasami bywała weselszą a usta się uśmiechały, po za tym uśmiechem i tą wesołością oko bystrzejsze mogło dostrzedz ból głęboki, acz cichy, który świadczył o sercu złamanem. Po kilkunastu dniach pobytu w Paryżu i oswojeniu się z wrażeniami, które odmiana przyniosła, był znowu jak dawniej zamyślony, smutny, gorzki.

Wandzia jak dziecko cieszyła się wszystkiem, co w Paryżu spotkała. Kultura europejska, tak różna od indyjskiej i cywilizacja, o której nad Gangesem mowy nie ma, wyzyskiwanie bowiem Indjan przez Anglików trudno nazwać cywilizacją, która człowiekowi powinna składać w daninie wszystkie zdobycze postępu — otóż ta kultura i cywilizacja były dla młodego dziewczęcia jakby obeliskiem, na którym mędrcy wypisali tysiąc prawd pismem nieczytelnem. Wszakże powoli, radząc się li oka, własnego rozumu i kobiecego instynktu, zaczynała odczytywać te hieroglify i tak je rozumieć, jakby pod wpływem prawd w nich zawartych wzrosła od dziecka. Dopiero teraz pojmować zaczęła czemu bogatych Indji, mimo że tam się urodziła, nie uważała nigdy za swoją ojczyznę. Ona była dzieckiem duchowem innej cywilizacji, innego świata; to też dopiero w Europie znalazła się u siebie. Ptak wywiedziony i wykarmiony w cudzem gnieździe wraca zawsze, nawet po latach do swoich towarzyszy... On się nie zżyje z tem, co jest przeciwne jego naturze.

Bolcio przypatrywał się nie z mniejszą ciekawością rzeczom pięknym a nieznanym, lecz podczas gdy umysł siostry coraz bardziej niemi się zajmował, on prędko zobojętniał. Co do jego zdrowia nie było ono ani gorsze, ani lepsze. Wezwani lekarze zbadawszy dokładnie stan chorego, zabrali ojca do drugiego pokoju i tam powiedzieli mu prawdę całą nic w bawełnę nie obwijając. Choroba Bolcia była jedną z tych przez naukę jeszcze dokładnie niezbadanych, której podpadają osoby histeryczne i jasnowidzące. Jest to najwyższe rozdrażnienie nerwowe, którego żaden lekarz nie usunie, bo taką chorobę jedynie natura może uleczyć. Na zapytanie ojca czy synowi grozi jakie niebezpieczeństwo, najstarszy lekarz odpowiedział, że jest to zagadka, którą trudno rozwiązać. Osoby tak chore mogą żyć bardzo długo, lat nawet kilkadziesiąt i umrzeć każdego czasu, bez widocznej przyczyny. Przedewszystkiem trzeba uważać — kończył medyk — by do tej słabości nie przyplątała się jaka inna; wtedy nie było by dla chłopca ratunku. Ojciec usłyszał zatem co oddawna wiedział, bo jakkolwiek sam nie był medykiem, zdrowy rozum nie od dziś mu mówił, że lekarze Bolcia nie wyleczą. Tym razem był im przynajmniej wdzięcznym, że go nie łudzili. Gdy wychodził z drugiego pokoju, Wandzia która przy bracie siedziała, wyczytawszy na jego twarzy wszystko krom nadziei, przycisnęła ręką serce, aby przed Bolciem nie zdradzić się ze swemi wrażeniami...

(C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

według oryginału obcego przez H. W.

(C. d.) — Tak, właściwie przesadnie romantyczny! No, geniusz francuzki miał zawsze tę wadę. Jest w nim dużo ognia, wyższy polot myśli, temu nie można zaprzeczyć. A przy zapale, jakim i tak goreje całe miasteczko L*, artykuł równa się iskrze rzuconej w skład prochu. Pół miasta od zmysłów odchodzi nad tym artykułem! Na uniwersytecie wydzierają sobie pojedyncze egzemplarze, każde słowo działa jak raca zapalona! Chciałbym tylko wiedzieć, jak długo wytrzyma ten cały zasób sztucznego zapału?!

Joanna spojrzała na niego złośliwie.

— Przynajmniej przyniosło panu to wszystko pożądaną odmianę — rzekła z widoczną ironią — znajdowałeś pan pobyt tutaj tak nieznośnie nudnym!

— Tak, narzekałem na nudy — mruczał dalej pan Atkins — a teraz chętnie bym się do tych nudów wrócił. Lepiej mi było z niemi, niż teraz siedzieć pomiędzy samymi warjatami! Przynajmniej przedtem byli ci Francuzi grzeczni, uczynni. Teraz i z tem się skończyło! Myślisz, że robią sobie co z nas cudzoziemców? że ktokolwiek troszczy się o nas? W moim hotelu zaniedbują mnie najhaniebniej! Wszelkie staranie, wszelka uwaga zwrócona ku panom oficerom. Ich się przyjmuje, ich wyprawia do szeregów. Gdziekolwiek kogo spotkam, daje mi do zrozumienia, że teraz właściwie cudzoziemcy są tu zupełnie zbyteczni. Przyjemny pan Jakób nie uważa też już za potrzebne hamować w czemkolwiek swoją niedźwiedzią naturę i robi na mój widok taką minę, jakby mnie chciał któregoś dnia pięknego pożreć na śniadanie! Nawet dotąd tak potulna pani Etienne zaczyna odczuwać w sobie wojenne usposobienie. Wczoraj była formalnie zaczepną i złośliwą, gdyś się nie dała jej gwałtem wciągnąć do komitetu patrjotycznego. Czy byłaby ona ośmieliła się do czegoś podobnego dawniej? Widzisz, mis Jenny, już i przeciw tobie buntować się zaczynają! Dziedziczki, Amerykanie, Anglicy, co im to wszystko znaczy, od kiedy myśl o wojnie jak fura siana do głowy im zajechała.

Przy wspomnieniu o wujence i jej żądaniu, ciemny rumieniec zalał całą twarz Joanny, nie przerywała jednak, a gdy skończył, rzekła:

— Oświadczyłam wujence stanowczo, że gdy będzie prawdziwe niebezpieczeństwo, i gdy zajdzie prawdziwa potrzeba umniejszać nędzę i iść na ratunek rannym, znajdzie mnie gotową na mojem stanowisku. Dziś jednak wszelkie sentymentalne demonstracje, w których się nasze panie lubują, wydają mi się przedwczesne, bezużyteczne, całkiem niepotrzebne. Moja natura żąda czynów, a wszelka ckliwa romantyczność jest jej wstrętną.

— Doskonale! — zawołał Atkins z żywością. — Ty przynajmniej nie daj się porwać tym szaleńcom! Nie ustępuj ani na włos. O! słyszysz ten okropny hałas na dole! dzwonią jak na gwałt. Ręczę, że to jakiś przyszły bohater, obrońca ojczyzny, który ośm dni temu byłby zaledwie śmiał pociągnąć za dzwonek, dziś w poczuciu swej nowej godności o mało że go nie urwie.

Złośliwość Amerykanina była tym razem wymierzoną przeciw samemu gospodarzowi. On to dzwonił, a teraz wpadł jak bomba do pokoju.

— Że też to zaraz!... A przepraszam! nie wiedziałem że pan tu jesteś. Ale trzy razy dzwonić musiałem, nim raczyła dziewka z kuchni potrudzić się, aby mi otworzyć. Jak tylko Jakóbka w domu nie stanie, wszystko idzie Bóg wie po jakiemu!

— I ja uważałem nieobecność tego nieocenionego pana Jakóbka! — odpowiedział Atkins witając gospodarza. Zawsze był wtedy najgrzeczniejszym, gdy chciał zrobić jakąś bardzo złośliwą uwagę. — Można istotnie pozazdrościć armji francuskiej tak znakomitego nabytku w osobie pana Jakóba!

— Tak! Jakóbek dostał już rozkaz wymarszu — rzekł doktor z westchnieniem — wczoraj do Brestu odjechał, ale jeszcze tu zapewne powróci. Nasz profesor także tam się znajduje.

— Pan Servigny? A ten tam po co?

— Musiał stawić się na wezwanie i dać się oglądnąć dla formy. Podczas takiej wojny nikt nie powinien być od tego wolnym. U niego skończy się na czystej formalności, Jakóbka jednak będzie nam wszędzie brakować! My już tam od biedy jakoś obejdziemy się bez niego, ale profesor, którego on tak pielęgnował, tak mu dogadzał! Jak ten się potrafi przyzwyczaić do innego sługi — Bóg to raczy wiedzieć!

Doktor zbliżył się do siostrzenicy, która zdawała się nie słuchać wcale rozmowy i znowu dziennik wzięła do ręki.

— Zdaje mi się, że pan przypisujesz profesorowi za wiele interesu dla tego wszystkiego, co nazywa się rzeczywistością, a nie tyczy się jego głęboko-abstrakcyjnych nauk! — drwił dalej Atkins. — Siedząc za swojem biurkiem i otoczony swemi zapleśniałemi foljałami, ręczę, że tak samo nie zwróci uwagi na zmianę usługi, jakby był może nie uważał przygotowań do wojny, gdyby nie przymusowa podróż do Brestu i stawienie się do wojskowych oględzin.

Małe, bure oczy doktora, zwykle dobrodusznie uśmiechnięte, zalśniły złośliwie i zmierzyły ironicznie Amerykanina, jakby z wewnętrznem zadowoleniem, że może oddać pięknem za nadobne.

— Istotnie! tak pan sądzisz? Czytałaś manifest Joanno? Ten w dzisiejszym dzienniku?

— Czytałam! — odpowiedziała żywo Joanna, podnosząc oczy na wuja z widocznem niespokojnem oczekiwaniem.

— I pan czytałeś?

— Tę rakietę? która całe miasto L* rozpłomieniła i tak samo zapewne sto innych miast francuskich poruszy! Czytaliśmy ją oboje.

— To mię cieszy! rakieta płomienista z mego domu wyleciała — manifest pisał pan Servigny!

Joanna zadrżała i dziennik z ręki wypuściła tak szybko, jakby trzymała żelazo rozpalone. Pan Atkins skoczył w górę ze swego siedzenia jak podminowany, wyprostował się jak struna, a po chwili upadł znowu na fotel.

— Niepodobna! — rzekł głucho.

— Już mi to powtórzono dziś ze trzydzieści razy — tryumfował doktor dalej, nie czując się bynajmniej obrażonym. — Nie może być! krzyczeli mi wszyscy nad uchem. Sam nie wierzyłbym temu, gdyby nie zwykła niezgrabność poczciwego Jakóbka, który miał zanieść artykuł do drukarni w największej tajemnicy, gdym go jednak napadł z nienacka, wygadał się ze wszystkiem. Naturalnie! czekałem jakie artykuł zrobi wrażenie. Gdy już w całem mieście wrzało i kipiało, rzuciłem moją tajemnicę na cztery wiatry! Trzeba było widzieć jak to poskutkowało! Na uniwersytecie szczególniej to jak gdyby bomba pękła! Profesor może przygotować się na przyjęcie, jakiego jeszcze nikt tutaj nie doznał, a ja na okropną scenę, którą mi zrobi niezawodnie za zdradzenie tajemnicy. E! co mi tam! mnie jej nie powierzył, o zamilczenie nie prosił, mniejsza o to, że się trochę pogniewa. Cóż ty na to mówisz Joanno?

— Ja? nic! — odrzuciła Joanna tonem tak cierpkim i tak niechętnym, na jaki tylko jej szorstkość zdobyć się mogła.

— A pan co na to? hę?

Atkins pochylił głowę z rezygnacją.

— Czekam na dalsze pana nowiny. Może dowiem się następnie, że pański profesor wziął szturmem baterję armat, a jego Jakób miał tymczasem odczyt o astronomji lub innej podobnej materji. Nie oszczędzaj mnie pan bynajmniej, ja już teraz wszystko wytrzymam, niczemu nie przecząc i niczemu się nie dziwiąc tu, w tej waszej Francji cudownej!

Doktor roześmiał się głośno, ale zaraz stłumił swoją wesołość, patrząc przez okno z miną zafrasowaną,

— Co to jest? Jakób już z powrotem... Leci jak warjat! Co się chłopcu stało? Wygląda jak struty!

Istotnie Jakóbek biegł przez ogród pędem i tak samo wpadł do pokoju. Tym razem nie zwrócił nawet uwagi na obecność miss amerykańskiej, której z taką trwogą unikał i na starego Amerykanina, którego jeszcze serdeczniej nienawidził.

— Co ci jest Jacques? — spytał doktor niecierpliwie — Co się wydarzyło?

— Oj! oj! — jąkał się Jakóbek łapiąc oddech — wydarzyło się! oj, wydarzyło — pan profesor!

— Nieszczęście?! gdzie? na kolei, czy tam w Brest? gadajże prędzej! — nalegał doktor w istocie przerażony.

— Tam! tam! w Brest! — zawołał Jakób załamując rozpaczliwie ręce — pan profesor także musi iść na wojnę! Jutro wymaszerujemy!

Po tych słowach zapanowało grobowe milczenie. Joanna wypatrzyła się na nieszczęsnego zwiastuna, jakby już teraz wcale nie wątpiła, że mu się na dobre w głowie pomięszało; doktor stał nieruchomo, jak piorunem rażony; jeden tylko pan Atkins po krótkiej pauzie odezwał się pół głosem:

— Teraz braknie nam już tylko wykładu astronomicznego pana Jakóbka.

— Czy powarjowali ci moi koledzy wojskowi, czy co u licha! Servigny zdolny do służby! Mój biedny pacjent, z którym od trzech lat rady sobie dać nie mogę — wybuchł wreszcie doktor z całą gwałtownością. — Czy też kto słyszał coś podobnego! Jakże to się stać mogło?

— Ja tam nie wiem, jak do tego właściwie przyszło — mówił dalej Jakóbek, któremu strach i wzruszenie dziwnie język rozwiązały i udzieliły niezwykłego daru wymowy — ale Bogiem a prawdą, pan sam temu najwięcej winien! Stałem przy nim bliziutko. Przychodzi jakiś z tych mniejszych doktorów, spojrzał na mego pana z boku.

— No! o tem przecie nie ma mowy! — rzekł wzruszając ramionami — pan byś nawet broni unieść nie potrafił.

Nie wiem dla czego mój profesor tak się o to rozgniewał, dość że cały poczerwieniał, a tak się brzydko popatrzył na doktora, że ten aż na bok odskoczył; podszedł do tego najstarszego, co go doktorem sztabowym nazywają i powiedział głośno:

— Proszę mnie przynajmniej oglądnąć.

— O! jeżeli panu tak na tem koniecznie zależy i owszem — odrzekł ten „Starszy“ i kazał mego pana opatrzyć.

— Doktor sztabowy był przytem — przerwał pan Etienne — teraz się już nie dziwię bynajmniej! Ten bierze każdego, a potem przy pierwszym marszu zostawia go w szpitalu. No, cóż dalej?

— A cóż dalej! pytano się mego pana, czy mu co gdzie dolega. — „Nic! nigdzie!“ — odpowiedział krótko i zaciął zęby, bo cała sala patrzyła na niego, a tak się wyprostował i taki był ciągle czerwony, że doprawdy nie wyglądał na chorego. Doktor sztabowy obmacał go ot tak, trochę, dla formy, a potem rzekł krótko i węzłowato: „Co też koledze w głowie! słaby, słaby! Nie możemy teraz być tacy wybredni; piersi dobrze zbudowane, płuca jeszcze zdrowe, no, a te trochę osłabienia i mizerności wskutek ślęczenia nad książkami, to przejdzie! Bierzemy pana do czynnej służby i koniec!“ Myślałem, że mnie „szlag“ trafi! a pan profesor odetchnął całą piersią, jakby mu ciężar spadł z serca.

Doktor zaczął chodzić gwałtownie po pokoju; znowu Atkins przerwał milczenie.

— Nie bierz mi za złe doktorze, lecz to jest ze strony twoich kolegów pomysł tak genialny, iż prawie graniczy z szaleństwem. Ściągać z katedry profesora w suchotach i wtrącać go w walczące szeregi! Nie ma co mówić, pożyteczny dla armji nabytek!

— Servigny nie jest wcale suchotnikiem — odparł doktor stanowczo — wiem o tem równie jak i moi koledzy. A co do jego cierpień nerwowych, te trudno zbadać na razie, szczególniej gdy jest w uniesieniu; na to trzeba dłużej studjować chorego. Stanowisko nie jest żadną wymówką, a młodym jest równie jak Jakób. Gdybym był mógł przeczuć coś podobnego, byłbym naprzód

działał, poczynił kroki przeciw temu, dał potrzebne wskazówki. Bóg mi świadkiem, że mogłem uczynić to z czystem sumieniem! Któż ten cały pasztet mógł obliczyć, przewidzieć! Tu z pewnością nie byłoby do tego przyszło, teraz już zapóźno!

— Panie doktorze! — Jakób mówiąc to patrzył błagająco i w trwodze śmiertelnej na p. Etienne — nie można na to pozwolić na żaden sposób, żeby nasz profesor wymaszerował! Czyż to pan nie wiesz, że przeciągów nie znosi, gorąco mu szkodzi, a zimno to niech Bóg broni, jeszcze gorzej. Dla niego musi się osobno gotować, a jak raz wtedy wyszedł w deszcz bez parasola, to jak ciężko chorował? Boże drogi! Umrze nam do tygodnia!

— No, no, uspokój się! — pocieszał p. Etienne. Zobaczymy czy nie da się co zrobić? Zostać się w L* nie zostanie, to niepodobna! może da się jednak przeprowadzić, że dadzą twego pana do lżejszej służby, do biura lub jakiej komisji sanitarnej. Uczynię po temu co tylko będzie w mojej możności, muszę atoli najprzód z nim się widzieć i porozumieć. Czy jeszcze twój pan nie powrócił?

— Powrócił — odrzekł Jakób lżej oddechając. — Ja tylko naprzód pobiegłem.

— No, idź-że teraz pozbierać swoje własne manatki. Odchodzisz także panie Atkins?

— Na kwadransik, ochłodzić się trochę. Chcę się zresztą przekonać naocznie, czy też w mieście L* stoi jeszcze cośkolwiek na nogach, a nie na głowie. Miss Forest zdaje się doświadczać tego samego uczucia. Czy mogę prosić o twoje towarzystwo, miss?

— Ja, jestem zmęczoną.

Joanna upadła prawie na fotel, opierając głowę na ręku i zasłaniając twarz całą przed badawczem okiem Atkinsa.

— Joanna jest znowu dziwnie źle usposobioną — rzekł doktor do Atkinsa odprowadzając go przez ogród na ulicę. — W ogóle widzę w niej wielką zmianę od dwóch tygodni. Może panu wiadoma przyczyna tego ciągłego rozdrażnienia?

— Przyczyna jeździ po Europie w osobie pana Alisona — pomyślał w głębi duszy Atkins, a głośno odrzekł: Myślę, iż ten młody ziomek, którego niedawno temu wprowadziłem był do domu państwa, musiał przywieźć nie najlepsze wiadomości o jej bliskiej znajomej. To jest zapewne powodem rozstrojenia miss Jenny; coś mi nawet o tem nadmieniła.

— Tak? no, to rzecz całkiem naturalna! — ciągnął dalej doktor uspokojony. — Obawiałem się tylko, czy mój dom lub domownicy nie są powodem tego złego humoru.

Joanna siedziała jeszcze na jednem miejscu nieruchoma. W tem dzwonek na dole odezwał się znowu, ale tym razem o wiele słabiej; dały się słyszeć kroki na kurytarzu, nie ruszyła się wcale, dopiero gdy otworzono drzwi wchodowe, zerwała się na równe nogi. Servigny stanął w progu. Od owego wieczora u stóp ruin spędzonego, nie widzieli się dotąd. Dotrzymał słowa, ich drogi nie zeszły się więcej. Konsekwencja, z jaką unikał choćby tych dawniejszych pobieżnych spotykań w sieniach lub w ogrodzie, mogła tylko równać się zaciętości, z jaką nawzajem Joanna mijała zdaleka jego osobę. Przez dni czternaście ani na jotę nie odstąpili od swego przedsięwzięcia, okiem na siebie nie rzucili, nie pozdrowili się wzajemnie, choćby skinieniem. A teraz nagle stali naprzeciw siebie, tak blisko, sami... Spotkanie było nieuniknione.

Joanna drżała na całem ciele. Cokolwiek mogła myśleć chwilą przedtem, rozprysło się teraz na widok człowieka, któremu dotąd nie darowała, że dumą swoją męzką śmiał ją upokorzyć. Znowu opanował ją dawny zły duch uporu nieugiętego, szał dziki jak wtedy ją ogarniał. Jak on mógł przestąpić próg wuja pomieszkania, wiedząc, że ją tam znajdzie?! Czy dla niej przyszedł? Joanna stała wyprostowana, dumna, gotowa do walki. Tym razem znajdzie siły, aby odeprzeć jego wpływ magnetyczny; teraz pewnie nie da mu się zwyciężyć!

Pokazało się atoli, że cały jej heroizm był zbyteczny. Wszystko poszło inaczej, niż się spodziewała. Profesor stał jeszcze ciągle w progu, wzrok jego błądził po pokoju, tylko na niej nie spoczął.

— Proszę mi darować, szukam pana Etienne.

— Wuj w ogrodzie.

— Dziękuję.

Przymknął drzwi i przeszedł przez pokój, udając się na ganek, do ogrodu prowadzący.

Joanna stanęła w płomieniach. Czekała, chciała wyzwania, ale widzieć się tak zupełnie pominiętą, to było więcej niż znieść mogła! Dłoń jej ściskała konwulsyjnie poręcz krzesła.

Profesor już na ganku zetknął się z powracającym doktorem, który wziął go zaraz w swoją opiekę.

— Jesteś przecie profesorze! Na miły Bóg, co też pan za historje wyrabiasz? Jakób cały dom zaalarmował swoją nieszczęsną wiadomością.

To mówiąc, wziął Servignego pod ramię, bez ceremonji i wprowadził napowrót do pokoju. Profesor zdawał się najmniej tego życzyć, szedł ociągając się z widoczną niechęcią, a gdy mu grzeczny gospodarz fotel przysunął nie usiadł, tylko stał dalej o poręcz tegoż oparty.

Joanna wyszła z pokoju, słowa nie przemówiwszy. Doktor powiódł za nią oczyma, zdziwiony i mocno niezadowolony. Niegrzeczność siostrzenicy względem jego lokatora przechodziła wszelkie granice. Servigny zaciął usta kurczowo, ale wzroku nie zwrócił w tę stronę, jak gdyby jej wyjścia wcale nie uważał.

Miss Forest nie odeszła daleko. Została w przyległym pokoju, wsparta o okno; wyraz twarzy jej był posępny i gniewny. Nie chciała zostać w jednym pokoju z człowiekiem, który śmiał nie uważać jej gniewu — jednak pragnęła dowiedzieć się po co przyszedł do jej wuja, zostawiła nawet w tym celu drzwi uchylone, żeby nie stracić ani jednego słowa z rozmowy, którą doktor rozpoczął teraz porządnem kazaniem.

— Powiedz że mi pan przedewszystkiem, czy Jacques rozum postradał, albo jest że to prawdą, że pana uznano

za zdolnego do służby? żeś to sam wywołał, żeś ogłosił się zdrowym i jak lew silnym, kiedy przecie wystarczało jedno słowo, nawet proste milczenie z pańskiej strony, żeby dowieść wręcz przeciwnie? Czy słyszane to rzeczy?

Profesor spuścił oczy.

— Chwilowe uniesienie — rzekł cicho. — Byłem pewny i przygotowany, że mnie przyjąć nie mogą. A jednak to pogardliwe ruszenie ramionami, ten wzrok doktora litościwy, pozbawił mię prawie przytomności! Być odesłanym do domu, sam jeden, jak nędzny niedołęga, gdy wszyscy spieszą do walki, tego znieść nie mogłem! Było to z mej strony szaleństwem, ktore życiem przypłacę: przecież popełniłbym je raz drugi w tem samem położeniu.

— Trzeba przyznać, że pan miewasz szczególne chwile uniesienia — zauważył doktor, rzucając wzrokiem na dziennik — no! o tem później. teraz myślmy jak naprawić głupstwo — tylko się pan tem tak zaraz nie obrażaj — głupstwo wierutne tego osła doktora sztabowego. Palnę ja mu verba veritatis, że mu w pięty pójdzie! Jadę z panem do Brestu. Tam musi mi dopomódz całym swoim wpływem, żeby pana przynajmniej w biurze umieścili. Oddać nam pana nie oddadzą, tego nawet żądać nie można po tej całej historji.

Profesor na te słowa stanął znowu w płomieniach, brwi zmarszczył ponuro, a głos jego zdradzał silne rozdrażnienie.

— Dziękuję za dobre chęci, doktorze, nie mogę jednak przyjąć pańskiego pośrednictwa w tej sprawie. Zostałem powołany do służby czynnej z bronią w ręku i pójdę tam, gdzie mnie przeznaczono.

Doktor osłupiał. Zwykł był rządzić despotycznie swymi pacjentami, a tu szczególniej przyzwyczaił się do łagodnej powolności i wykonywania bezwarunkowego jego rozporządzeń. Nagle zachciało się pacjentowi bunt podnieść przeciw niemu i to w rzeczy tak ważnej! Tego było już za wiele, doktor stał się brutalnym.

— Czyś pan już całkiem oszalał! — krzyknął rozjuszony. — Chcesz służyć z bronią w ręku? Pan? pan? Nie, to przechodzi wszelkie wyobrażenie!

Servigny zagryzł usta, milczał, ale takim wzrokiem rzucił na doktora, jak tam w sali, o czem Jakóbek opowiadał; to też pan Etienne pomięszany natychmiast ton zmienił.

— Wymień że mi pan choć jedną przyczynę, daj mi choć jeden powód rozsądny swojego uporu! Czyż nie możesz tak samo służyć ojczyźnie piórem? Dla czegoż nie masz być przeniesionym do służby biurowej? Powiedz mi pan dla czego? — mówił doktor tym razem prawie błagająco.

— Bo nie chcę!

— Rób że co z takim żelaznym uporem! W tem, toś pan zupełnie podobny do mojej siostrzenicy. „Nie chcę!“ — a wtedy niechże cały świat przyjdzie i niech co poradzi. Całkiem Joanny maniera, nawet w tym samym tonie; jakbyś pan od niej się nauczył. Jedno jak drugie! Dalipan! byłaby z was dobrana para.

— Doktorze! raz na zawsze nie przyjmuję żartów równie niedorzecznych! — przerwał mu Servigny z najwyższą gwałtownością uderzając nogą o posadzkę.

Doktor znowu osłupiał przed tym wspaniałym okazem gniewu i siły, swego niegdyś tak potulnego pacjenta. Po chwili zaczął mówić w tonie rzetelnego uwielbienia.

— Ile mi się zdaje, to pan nawet potrafisz teraz być grubianinem.

Servigny odwrócił się niechętnie, nie rozjaśniwszy dotąd chmurnego czoła.

— Rozumie się, że to był żart najniewinniejszy. Czyż ja nie wiem, że stoicie wiecznie z Joanną na stopie wojennej? — tłumaczył się doktor. — Ależ potrafisz teraz być złym profesorze! no, no! W ogóle od dwóch miesięcy zmieniłeś się nie do poznania.

Servigny nie bronił się ani jednem słowem przeciw temu zarzutowi; milczał zawzięcie.

— Wracając do głównego założenia — mówił doktor dalej, ale już bardzo skromnym tonem — nie pozwalasz pan stanowczo, żebym wdał się w tę sprawę?

— Nie!

— Chcesz koniecznie jutro wymaszerować?

— W każdym razie!

— Ha, cóż robić! Przymusić pana nie mogę! — Tu patryjotyzm wziął górę nad uczuciem czysto doktorskiem; pan Etienne wyciągnął rękę i uścisnął serdecznie dłoń profesora. — Idź-że pan teraz w imię Boże! Kto wie? Może w końcu doktor sztabowy ze swoim środkiem heroicznym okaże się mędrszym od nas wszystkich! Przynajmniej o jednem przekonał pana, w coś nie chciał uwierzyć, gdy ja ci to mówiłem, że nie masz wcale suchot i żadnej w ogóle choroby nieuleczalnej. A co do pańskich nerwów, przypominasz sobie, com ci radził przed czterma tygodniami?

Profesor podniósł oczy powoli.

— Kurację radykalną, niezwykłą — rzekł cicho.

— To właśnie! kurację gwałtowną, która wtedy pana przeraziła. Nie mogłeś zdecydować się na życie wyrobnika, a rzucasz się w wir wojenny, mnie się nie spytawszy. Tego środka heroicznego nie byłbym panu zaordynował, co prawda! bo w tym razie nie można zmniejszyć dozy, gdy okaże się za silną. Tam trzeba znieść lub zginąć! Gdy jednak pan go sobie sam wybrałeś — szczęść Boże!

Profesor uśmiechnął się smętnie.

— Nie wiele ja ufam tej kuracji wśród krwi rozlewu i szczęku broni — odrzekł spokojnie. — Zginę czy to od kuli nieprzyjacielskiej, czy ulegnę wkrótce trudom nad moje siły, mniejsza o to! — zawsze prędzej i chwalebniej, niż po długoletniej męce i powolnem konaniu za stołem z książkami. Nie odbieraj mi błogiego przekonania, doktorze, to jedno najlepsze co z sobą zabieram, że przynajmniej tym sposobem śmierć moja przyda się na coś ludzkości.

— Tylko mi pan nie przychodź z temi przeczuciami śmierci! — zawołał doktor z dawną żywością. — Koniecznie ginąć! czy jest w tem sens najmniejszy! Wypraszamy to sobie wszyscy, jak tu w L* jesteśmy. Więc

na nic nie przyda się pańskie życie! więc pan nie napisałeś dzieła, nad którem zdumiewał się cały areopag uczonych!

Usta profesora zadrgały bolem tłumionym, uśmiechnął się z goryczą:

— Tak, uczeni! a dla reszty świata zostanie to nazawsze „czemś martwem, pyłem książkowym, nic więcej.“

— Doprawdy? proszę bardzo! A ten artykuł, któryś pan wydrukował w dzisiejszym dzienniku. Czy to także „tylko pył książkowy?“ Nie unoś się pan zaraz, że o tem wiem! Wie całe miasto, uniwersytet detto. Profesorze! odkiedyś to napisał, stałeś się w moich oczach genialnym, w nic już nie wątpię, wszystkiego się po tobie spodziewam. (C. d. n.)

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) Pod względem eskorty Stanley znalazł pewne ułatwienia obce jego poprzednikom. Arabowie i Wuangunowie niegdyś zaciągani przez Speke'a i Livingstona, dotąd mieszkali w Zanzibarze, nie jeden z nich towarzyszył nawet Stanleyowi w jego pierwszej wyprawie. Owi weterani tworzyli tedy jądro oddziału nawykłego do trudów nieodłącznych od tego rodzaju przedsięwzięć. A jednak, gdy im Stanley przedłożył swe zamiary, podniósł się okrzyk trwogi.

— Toć zakrawa na dziesięcioletnią wędrówkę!

— Co wam się marzy! Wiem, że arabskie karawany potrzebują lat trzech, aby dosięgnąć Użiżi. Wszakże ja sam w szesnaście miesięcy dokonałem tej podróży wraz z powrotem. Chyba nie pamiętacie dziś tego?

— I owszem. Ale stary nasz pan (mowca należał do sług Livingstona) stary nasz pan zaręczał, iż na dwa wybiera się lata.... dwa tylko.... dawno już to było.... a on nie powrócił nigdy.

— Niestety! nie powrócił. Ależ jeśli szybko umiałem mą pierwszą przeprowadzić wycieczkę, dla czegożbym dziś miał działać powolniej? Alboż się zestarzałem? alboż dawne utraciłem siły? Czy raczej nie jestem w doświadczenie zbrojny? Kiedyśmy zdążali do Użiżi, kierowali podróżą naszą przewodnicy, za powrotem ja już objąłem ster wyprawy, za pomocą jedynie tego oto maleńkiego kompasa.

W miarę jak przemawiał, męzki jego zapał i ochota wnikały w słuchających dusze.

— Masz słuszność, panie nasz, masz słuszność! zawołali jednogłośnie, spoglądając nań z uwielbieniem i ufnością bez granic.

Na dniu 17. listopada 1874 r. karawana Stanleya opuszczała Bagamoy, aby swe kroki skierować ku wnętrzu Afryki, ku tym nieznanym a niezmierzonym obszarom, które się od jednego do drugiego rozciągają morza. Znaczne ciężary rozdzielono w ten sposób, aby nikogo nad siły nie obciążać. Wszyscy kroczyli naprzód wesoło, z nadzieją w sercu, żartem i śmiechem na ustach. Grunt spieczony i twardy ułatwiał pochód i dodawał otuchy. Dla iluż jednak z tych ludzi dziś tak pełnych młodości i siły, godzina powrotu nigdy wybić nie miała!

Następnych dni dokuczliwe południowe skwary ostudziły powoli zapał podróżników. Ustały śpiewy wesołe, raz po raz w ich miejsce dawała się słyszeć głośna skarga lub przekleństwo. Nie tylko ludzie ustawali na drodze, ale same nawet psy zdawały się niemym a bolesnym oczu wyrazem błagać o litość. Kilku z członków oddziału rzucało się na ziemię, klnąc godzinę, w której zaciągnąć się dali i nie chcąc dalej postąpić i kroku. Następnego tygodnia dezercje przerzedzają szeregi karawany, choroby się pojawiają, a początek dżdżystej pory nie poprawia już i tak opłakanego położenia. Rozmokły deszczem grunt gliniasty utrudnia dalszy pochód, ludzie potykają się naprzemian lub brną po kostki w kałużach; wieczorem zaś, gdy podróżni po całodziennej słocie i znużeniu szukają odpoczynku przy ogniskach, zasypiać im przychodzi na błotnistej ziemi.

Karawana zrazu postępowała w ślad pierwszej wyprawy Stanley'a, kierując się z wschodu ku zachodowi. Dopiero gdy przebyła kraje Usogoro i Ugogo, zboczyła w stronę północy i jeziora Speka, Wiktoryi Nyansa, owego głównego Nilu rezerwoaru. Na nieszczęście głód panował właśnie w tych stronach; podróżni, wycieńczeni niedostatecznem pożywieniem, znaleźli się nagle w obec niezmierzonych zarośli (jungle), wśród których wypadło im z trudem niemałym torować sobie drogę.

Przed nimi rozciągał się nieskończony obszar płaszczyzny, gęsto zasłanej powikłanemi między sobą krzewami. Wystawić sobie można nadzwyczajne utrudnienie pochodu dla ludzi, po większej części obciążonych zapasami podróżnemi, którzy naprzemian ręką lub siekierą otwierali sobie wśród zarośli drogę. Choroba, ów zwykły skutek znużenia i głodu — rychło wkradła się w słabnące oddziału szeregi: dysenterja, astma i febry pojawiły się, coraz to nowych dosięgając ofiar. Jeden z trzech Europejczyków, towarzyszących Stanleyowi, młody z Tamizy marynarz, nazwiskiem Edward Pocock, pierwszy uległ zarazie. Zrazu nie spostrzeżono u niego groźnych symptomatów. Po przebytych co dopiero trudach i nadużyciu sił własnych, zawroty głowy i bole w stawach nie mogły dziwić nikogo. Stanley rozkazał jednak kilkodniowy przystanek dla odpoczynku. Zaraz nazajutrz stan chorego się pogorszył: blask oczu, nieustanna maligna, dręczące pragnienie, śmiertelna bladość oblicza, — wszystko to rychło przekonało Stanleya, że straszny do jego obozu zawitał tyfus.

A i inni ludzie w niemniej opłakanym znajdowali się stanie. Rzecby można, iż nawet umierać spokojnie nie było im danem w tych niegościnnych stronach. Krajowcy z nieufnością spoglądali na wkraczających w ich granice przychodniów: zbrojni w łuki, kolczugi i dzidy, z wojennemi na ciele malowidłami, z sokolemi na skroniach piórami lub grzywami giraf na głowie, Uarimowie

pojawiali się w sąsiedztwie obozowiska, występując coraz groźniej; starcie stawało się coraz bardziej nieuniknionem. Stanley rozkazał tedy chorych umieścić na noszach i w dalszą ruszyć drogę. Karawana odtąd miała raczej pozory żałobnego pochodu, aniżeli wyprawy pionierów oświaty, zdążających odważnie ku podbiciu Nowego świata.

„Odkąd opuściliśmy Zanzibar, pisze Stanley, nigdy jeszcze podobnego nie zaznaliśmy znękania. Krajowcy zaniechali pogoni, w danym razie, sądzę, że nie umielibyśmy im żadnego stawić oporu. Głód co dopiero przebyty w krainie Ugogo, straszny trud i znużenie doznane w przebijaniu się przez owe piekielne zarośla, wyczerpnęły niemal wszystkie siły nasze. Obok chorego Edwarda Pocock szedł w milczeniu ze spuszczoną głową i ponurym wzrokiem brat jego Frank Pocock, tudzież przyjaciel Fryd. Barker. Za nimi ciągnął się smutny szereg chorych. Wszyscy co do jednego czuliśmy smutek głęboki i niedolę. A jednak niby przeznaczeniem wiedzeni, postępowaliśmy naprzód, a raczej wlekliśmy się leniwym krokiem coraz dalej. Znużeni i słabi na duchu i ciele stanęliśmy nareszcie w krainie Ituru i rozłożyliśmy obóz nasz blisko szczytu pagórka.“

Nieszczęśliwy Edward Pocock nie był już świadomy ani drogi ani odpoczynku. Tysiączne dziwadła snuły się mu w malignie; ku wieczorowi oświadczył, że mu jest lepiej, a nawet zupełnie dobrze. Po upływie godziny przywołano w pospiechu Stanleya... Nadbiegł jeszcze na czas, aby zobaczyć ostatnie pasowania się młodzieńca z śmiercią nieubłaganą. Brat jego, który nie przypuszczał tak bliskiego końca, rzucił się w rozpaczy na martwe już zwłoki, próbując łzami swemi i skargą powrócić im iskrę życia.

Nazajutrz wykopano grób głęboki u stóp odwiecznej akacji; na jej pniu pobożna ręka Franka wyryła krzyż, znaczący się w korze, poczem w obecności Arabów i Wuangunów trzej Europejczycy odmówili uroczyście żałobne modlitwy.

I tak nad mogiłą chrześcijaństwo po raz pierwszy zatykało swój sztandar na tej dzikiej i niegościnnej ziemi.

Śmierć młodego Anglika zdawała się smutnie rokować o dalszej podróży, a jednak nasi wędrowcy znajdowali się dopiero u wstępu podjętego przez się zadania. Należało im krzepić się na duchu i dodawać sobie otuchy znanem amerykańskiem hasłem: „G o a h e a d!“

Nareszcie na dniu 9. lutego 1875 karawana wstąpiła w granice krainy Usukuma. Dla zrozumienia miejscowych nazwisk i oznaczeń wiedzieć należy, iż początkowa litera *U* poprzedzać zwykła nazwę kraju, *Wua* zaś zbiorowych mieszkańców, *M* pojedyńczego krajowca. Naprzykład wyspa Uwuma: mieszkańcy jej w liczbie mnogiej zwą się Wuawumy, w pojedynczej Mwuma. Stanąwszy więc w granicach Usukumy, poznali, iż najuciążliwsza część drogi przez nich przebytą została. Już odkąd wstąpili w krainę Ituru, okolica powoli uległa pomyślniejszej zmianie. Nie była to już podniesiona o jakie 4500 stóp nad powierzchnię morza płaszczyzna. Pasma wzgórz urozmaicały jednostajność równiny: tu i owdzie strumyk użyźniał roślinność mniej wycieńczoną i biedną. Nareszcie rzeka, ochrzczona trojakiem mianem (Livumbu, Monangali, Szymeju) ukazała się niebawem w kierunku północno-zachodnim, przerzynając urodzajne doliny. Stanley nie mógł zbadać biegu tej rzeki aż do jej ujścia w Wiktorja Nyanza, atoli osobiste jego spostrzeżenia, tudzież wiadomości zaczerpnięte po drodze, nie pozwoliły mu wątpić, iż miał przed sobą rozwiązanie zagadki wiekowej i niedoścignionego dotąd problematu. Rzeka ta, wypływająca z podniesionych płaszczyzn środkowej Afryki, a wpadająca do jeziora Wiktorja Nyanza, nie może być czem innem, jak kolebką Nilu. Trudy Speka, Granta i Bakera nareszcie tu uwieńczonemi zostały.

Dla wyniszczonych drogą wędrowców kraina Usukuma stawała się prawdziwą obiecaną ziemią. Tam bowiem każda karawana bywa suto zaopatrzona w przedmioty do zamiany stosowne, które w Afryce zastępować zwykły brzęczącą monetę, może się obficie zaopatrzyć w zboże, fasolę, przeróżne warzywa, smaczne melony, miód, tabakę i t. d. Równocześnie unosiły się nad doliną wonie dobrze znane, które przypominały naszym podróżnikom daleką ojczyznę: niewyraźny zapach mleczywa i siana napełniał powietrze, brzmiące rykiem trzód i beczeniem owiec.

Krajowcy okazywali wielką gościnność i życzliwość; wychodzili z osad gęsto po drodze rozsianych, aby witać przychodniów wesoło i mile. „Niechże wstąpi do nas człowiek biały — powtarzali — człowiek biały, którego ręka zawsze otwartą bywa“.

Niestety! owa obfitość i spokój nie mogły od razu powetować trudów poprzedniej drogi. ani wrócić podróżnikom sił utraconych. Choroby nie przestawały wśród nich grasować; z kolei jeden z Europejczyków, Fryderyk Barker, ciężko zapadł na zdrowiu. A jednak nadzieja budziła się w sercach, im bardziej zbliżano się do jeziora Wiktorji, nad którego brzegami karawana miała przez czas dłuższy wypocząć. z wyjątkiem samegoż Stanleya i kilku dobranych towarzyszów. którzy zamierzali rozpoznać obszar i granice jeziora. Na dniu 27. lutego wstępowali na niewysoki pagórek, gdy Arabi, stanowiący przednie karawany czaty, nagle podnieśli okrzyk zapału i radości. W oddali spostrzegli bowiem srebrzące się jeziora fale.

Frank Pocock rzucił się naprzód, aby przy nich na szczycie wzgórza zająć miejsce. Wzrok jego utonął w rozległym widnokręgu, poczem powiewając kapeluszem, zbiegł szybko ku Stanley'owi, wołając z całem uniesieniem młodości:

— Jezioro! widziałem jezioro! cudne, ogromne!

Fryderyk Barker zbyt słaby, aby iść w szeregu, jechał na ośle; podniósł głowę i spojrzeniem ścigał przyjaciela, podczas gdy blade jego oblicze opromieniało się wątłym uśmiechem.

O jakie sześćset stóp niżej lśniły się na słońcu srebrne Wiktorji fale; trzciny i zarośla brzegów kołysały się pod cichego wietrzyka oddechem Liczne wioski i osady chroniły się w cieniu gęstych drzew, w oddali modre pasmo gór zamykało krajobraz; na jeziorze samem wi-

dniały skaliste wysepki, kąpiące się w przejrzystej toni, niby hufiec łodzi rybackich z rozpiętemi żaglami. Jeden z ludzi eskorty, młody a silny krajowiec, natchniony snać tym wspaniałym widokiem, jął nagle improwizować rodzaj kantaty na cześć jeziora:

Nućmy bracia wesoło, podróż nasza skończona,
Podnieśmy głosy radości, śpiewajmy wielkiego Nyanzę.
Odkąd ojczyznę naszą żegnaliśmy, dzieci i żony,
Przyjaciół i braci swoich, któż z nas oglądał na oczy
Morze tak piękne i wielkie?

Pieśń ta samorodna, w której wybuchały uczucia prostego barda, nastrój patrjotyczny jego duszy, rozdzielała się na strofy, przerywane chórem Arabów i krajowców. Dzika nuta brzmiała w powietrzu, dalekie budząc odgłosy. Był to widok niezrównany, niezatarte sprawujący wrażenie; a kiedy karawana rozwinęła swe sztandary, aby powitać wielkie afrykańskie jezioro, łzy we wszystkich stanęły oczach, a jednocześnie serca wezbrały religijnem wzruszeniem.

Po tygodniu wytchnienia, Stanley zamierzał puścić się łodzią na jezioro, aby rozległość jego poznać bliżej. Niestety, mimo rodzinnego dla tych wód uwielbienia, krajowcy nie dowierzają im wcale i nawet niestworzone o swem jeziorze rozgłaszają baśnie. Dzikie niby potwory ludzkie, opatrzeni w ogony, zalegają owe wybrzeża, inne plemiona walczą za pomocą krwiożerczych a do boju wprawionych olbrzymich brytanów; nareszcie obszar jeziora ma być tak niezmiernym, iż żaden wędrowiec nie wrócił żyw z podjętej na jego zdradnych falach wyprawy. Oto główne zagadki miejscowe, dotyczące wielkiego Nyanzy. Ztąd nie dziw, że Stanley wśród ludzi eskorty nie wiele znalazł poparcia, ani ochoty. Po długich targach i wahaniu, kilkunastu marynarzy z Zanzibaru przyrzekło mu towarzyszyć. Szalupa z Anglji przyniesiona, a mianem Lady Alice ochrzczona, stała w pogotowiu. Podniesiono kotwicę na dniu 8. marca 1875, zostawiając w Kagehyi, nad brzegiem jeziora, resztę karawany pod dowództwem Franka Pococka i Fryderyka Barkera.

Szare niebo odbijało się w ołowianej fali, mgła przysłaniała nagie skały i osamotniała dolinę; żeglarze z smutną rezygnacją ludzi, idących na śmierć niezawodną, leniwo uderzali w wiosła. Stracili jeszcze więcej serca, gdy okrążywszy sterczące załamy skał Lutari, nie widzieli już za sobą Kagehyi. Losy tedy zapadły stanowczo: zniknęła ziemia i radości życia, wilgotny grób przed nimi się otwierał.

Nie potrzeba nam dowodzić, że te zabobonne strachy bynajmniej się nie sprawdziły. Podróżni spokojnie i bezpiecznie okrążyli wschodnie wybrzeża, skierowali drogę ku północy, zbadali brzegi Ururi i Ugehya. Żaden potwór nie zaszedł im drogi, żadne dziwadło ani widziadło nie przeszkodziło ich swobodnej żegludze. Rozpoznali liczbę nie małą wysp, wysepek, rozrzuconych na jeziorze, jedne zielone i roślinnością nęcące, inne nagie i nieurodzajne. Na wschód od brzegu, którego się trzymali, podnosiły się wyżyny gór Ugehya. Ku zachodowi zaś rozciągała się bezmierna fala tego olbrzymiego jeziora, które ma kilkadziesiąt mil szerokości.

Poniżej równika wybrzeże nagle ku zachodowi się przechyla. Stanley przybliżał się do wielkiego państwa Ugandy, wsławionego opowiadaniami Speka i Granta. Zanim jednak dobił do brzegów gościnnego królestwa, przyszło mu walczyć z niesfornymi mieszkańcami Uwumy, którzy próbowali zrabować szalupę. Kilka wystrzałów z rewolweru starczyło, aby położyć koniec zaczepkom i rabusiów rozproszyć; to też bylibyśmy zamilczeli o tych przedwstępnych utarczkach, gdyby Stanley nie miał był lepiej się jeszcze zapoznać z wojowniczymi mieszkańcami Uwumy.

W kilka dni później stanęli w Ugandzie i znaki względnej cywilizacji przedstawiały się ich oczom. Nie było tu już półnagich krajowców, ani fantastycznych ozdób głowy i ciała w wojenne malowanego obrazy, nie było wrzasków dzikich, ani kłótni. W chwili, gdy Stanley zarzucał kotwicę w zatoce Kadzi, na północnym brzegu Wiktorji, młodzian, odziany koźlą skórką, białą opończą i purpurowym płaszczem, zlekka skoczył na statek angielski, obyczajem wschodnim rzucając się na ziemię, aby powitać obcego przybysza. Był to komendant portu; pozdrawiał on Stanley'a w imieniu pana swego, możnego Mtessy, ponieważ wieść o zbliżającym się podróżniku rozeszła się była po całej okolicy.

— „Kabaka“ (cesarz) — ozwał się młodzieniec — przesyła ci swoje salaamy, spodziewa się, ze zechcesz go odwiedzić, a ztąd przeniósł się do Usawara, nad brzegi jeziora, aby cię przyjąć u siebie. Matka jego dziwny niedawno sen miała, widziała białego człowieka idącego ku nam po wodzie. Oświadczyła to synowi, że oto cię widzimy tutaj. Teraz zaś, panie, daj mi odpowiedź twą dla mego monarchy.“

Od tej chwili Stanley został gościem Mtessy. Obraz pełen życia, jaki nam daje o osobie młodego monarchy i jego kwitnącego państwa, wzbudza uwielbienie i podziw, zwłaszcza jeśli się porówna jego opisy z wrażeniami Speka. Jakież cudowne zmiany w krótkim zaszły tu czasie! „Mieszkańcy Ugandy — mówi Stanley — tak są różni od korsarzy sąsiedniej wyspy Uwumy, jak Amerykanie z Arkanzas od wpół dzikich Szaktasów.“ Co zaś się tyczy samegoż Mtessy, nie jest to już ów kapryśny i krwawy despota, który w młodym wieku na wszelkie zbrodnie zatwardziałe miał serce, a za nic sobie życie ludzkie ważąc, okrucieństwem i dziecinną słynął próżnością. Speke opowiedział wiernie, co widział, aliści nie przeczuł pod grubą powłoką dzikości owych, wielkich przymiotów, które miały kiedyś pasować ukoronowanego młodziana na reformatora środkowej Afryki.

Zaledwie stanął w Ugandzie, Stanley miał sposobność nabrania wysokiego mniemania o potędze rzeczonego państwa. Tysiące ludzi, uszykowanych w wojskowym porządku pod dowództwem jaskrawo umundorowanych oficerów, zalegało wybrzeże jeziora. W chwili, gdy Stanley wysiadał na ląd, kilkaset wystrzałów zwiastowało całej okolicy przybycie białego gościa. Uderzono w bębny i kotły, rozwinięte sztandary pochyliły się na znak powitania, lud podniósł głośne okrzyki. Wzruszony i ogłuszony tak hałaśliwem przyjęciem, Stanley zmierzał

prosto ku chorągwi najznaczniejszej, przy której stał młodzieniec na poły biało, na wpół w purpurę odziany. Towarzyszący podróżnikowi komendant zatoki padł plackiem na ziemię, oświadczając Stanley'owi, iż znajduje się wobec Katetekira samego. Tłómaczeniem tem bynajmniej nie objaśniony, Stanley skłonił się zagadkowej osobistości, która mu niskim odpowiedziała ukłonem. Nasz Amerykanin w niemałym znajdował się kłopocie, nie wiedząc, ażali przypadkiem samegoż nie wita Mtessy. Mimo wszelkich usiłowań, aby ukryć owo wewnętrzne zakłopotanie, śmiały wędrowiec czuł, że się rumieni.

Wszakże próżne to były niepokoje i domysły: Katekirą zwie się w Ugandzie pierwszy minister i ulubieniec królewski. Zaszczyt audjencji odłożonym był do dnia następnego, ażeby po wypoczynku, Stanley lepiej mógł ocenić łaskę monarszą. (C. d. n.)

MYŚLI.

Wiara i zwątpienie, są to dwie potęgi, wieczną walkę staczające w duszy człowieka. Stokroć szczęśliwy ten, w którym wreście wiara stanowczo zwycięży.

Filozofia dobra jest w przeszłości i przyszłości, w teraźniejszości nie może nam wystarczyć.

Nie trzeba zrażać się małemi przeszkodami i uważać za nadto w życiu na drobnostki. Pająk tysiące razy w swej robocie przeszkodzony, snuje dalej nić misterną. I my mając stałe przedsięwzięcie dokonania jakiejś pracy, doprowadzimy ją pewnie do skutku. Dobra wola i odwaga, zwyciężają wszelkie trudności, a chociażby horyzont nad nami był pełen chmur czarnych, oko przyzwyczajone patrzeć w górę, ujrzy tam pewno promień jaśniejszy.

Sądy ludzkie, są to najczęściej bańki mydlane, pełne blasku chwilowego i... nietrwałości.

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— Budżet teatrów warszawskich na rok bieżący wykazuje: dochodów stałych 385.015 rubli, czasowych 5.000 rubli, wydatków stałych 381.981, czasowych zaś 5.184 rubli.

— Dochód cały z wystawionego na widok publiczny w Poznaniu obrazu „Pochodnie Nerona“ wynoszący blisko 6.000 marek, przeznaczył p. Henryk Siemiradzki na jedną z tamtejszych instytucyj. W ślad szlachetnej tej ofiary ze strony znakomitego naszego artysty, nastąpić ma ofiara jeszcze wspanialsza. Donieśliśmy, iż według jednego z dzienników warszawskich, Siemiradzki dowiedziawszy się o projekcie zakupna drogą składek w Królestwie „Bitwy Grunwaldzkiej“, oświadczył się z gotowością ofiarowania na rzecz Warszawy swych „Pochodni Nerona“ pod tym jedynie warunkiem, że projekt powyższy przyjdzie do skutku. Z powodu doniesienia tego ogłosił Siemiradzki w „Kurjerze porannym“ co nastepuje: „Powiedziałem w gronie kilku osób, że gdyby przyszło do skutku projektowane Muzeum Sztuk Pięknych i gdyby w niem znaleźć się mogły dzieła istotnie znakomite, jak n. p. „Bitwa pod Grunwaldem“ Matejki i inne, w takim razie chętnie ofiarowałbym na rzecz Muzeum moje „Świeczniki“, jeżeli rozumie się, do owego czasu obraz ten będzie w mojem posiadaniu. Słów tych nie cofam, owszem oświadczam wyraźnie że taki jest stały mój zamiar. Terminu żadnego nie oznaczam, gdyż owarunkowanie takie dla obu stron byłoby niepotrzebnie krępującem. Powtarzam tylko raz jeszcze, że jeśli w chwili otwarcia projektowanego w Warszawie Muzeum, „Świeczniki“ znajdować się będą jeszcze w mojem rozporządzeniu, to z całą gotowością oddam je bezinteresownie na własność tego zakładu.

Henryk Siemiradzki“.

— Eugeniusz Lipnicki (E. Puffke), który niejednokrotnie już umieszczał w różnych pismach niemieckich zajmujące artykuły o literaturze polskiej, opisuje w *Europie* i *Politik* wizytę swą w Villepreux u Bohdana Zaleskiego w feiletonie noszącym tytuł Bohdan Zaleski.

— W tych dniach odbyło się w Krakowie drugie posiedzenie komisji konkursowej, która przez wzgląd na znaczną liczbę sztuk nadesłanych wzmocniła się kilku członkami. Obecnymi więc byli pp. Zyg. Cieszkowski, Estreicher, Kłobukowski, Koźmian, Rychter, Szukiewicz, Zacharyasiewicz, Ant. Zaleski, Zathey. Usunięto od konkursu następujące sztuki; p. St. Olendzkiego 1) Złodziejc, kom. 2 akt., 2) Małżeństwo, kom. 3 akt., 3) Akt notaryalny w małżeństwie, kom. 3 akt., 4) Hrabia w kłopotach, kom. 3 akt. Autor bowiem podał swe nazwisko w osobnym liście, a nie w zamkniętej kopercie, jak wymagają tego warunki konkursu. Dalej odrzucono następujące sztuki: Nieproszeni goście, kom. 3 akt., Kochany szwagierek, kom. 3 akt., Zborowscy, trag. 4 akt., Iduna, dram. 5 akt., Lwica, kom. 4 akt., Zwodnicze pozory, kom. 3 akt. Zalecono do wspólnego czytania: Krewniaki, kom. 4 akt., Izrael na puszczy, dramat biblijny 5 akt., Pokrewne dusze, dramat 5 akt. Na temże posiedzeniu rozpoczęto wspólne czytanie Izraela na puszczy.

— W dzień imienin I. J. Kraszewskiego d. 19. marca, liczne Stowarzyszenia i osoby prywatne przesłały czcigodnemu Jubilatowi serdeczne gratulacje.

— Na domie, w którym roku 1818 w mieście włoskiem Reggia d'Emilia przyszedł na świat znakomity niedawno zmarły astronom O. Seschi, umieszczono w tych dniach tablicę marmurową z stosownym napisem.

— Pamiętniki potężnego kanclerza monarchii austryackiej w pierwszej połowie b. r. księcia Metternicha, zawierające bogaty dla historyka materjał, wyjdą wkrótce z druku staraniem syna autora. Stanowić będą 14 tomów. Bezwątpienia znajdzie się w nich także niejeden cenny szczegół o losach sprawy polskiej, mianowicie na kongresie wiedeńskim.

— Jeden z najpiękniejszych dramatów Słowackiego „Horsztyńscy“, znaleziony po śmierci autora niestety we fragmentach, uzupełniony został i zakończony przez utalentowanego tłumacza dzieł Juliusza, na język francuski, pana Mlien i w tych dniach miał się ukazać na scenie krakowskiej.

— Zakład im. Ossolińskich we Lwowie otrzymał świeżo dar wspaniały prawdziwie. Znany mecenas sztuki i literatury hr. Xawery Branicki w Paryżu ofiarował na rzecz jego przeszło tysiąc tomów różnych dzieł i broszur, po większej części z dziedziny umiejętności politycznych i ekomicznych, które nabył po zmarłym niedawno słynnym publicyście i współpracowniku dziennika *„Journal des Debats“* Henryku Wyżyńskim.

— Paryska rada gminna uchwaliła, wznieść sławnemu astronomowi Lewersierowi, który przed dwoma laty umarł w Paryżu, pomnik przed pałacem obserwatoryum astronomicznego, wprost posągu konnego marszałka Neya.

— W krakowskiej Akademii umiejętności odbyło się w tych dniach posiedzenie komisyi językowej. Przewodniczący dr. Majer złożył „Słownik wyrazów ludowych z Chocholowa“, nadesłany przez X. Złożę z Trzebini. Praca ta będzie zużytkowaną w czasie właściwym. „Słownik techniczno-kolejowy“ p. J. Tuszyńskiego, za zgodą autora, komisya postanowiła odstąpić dla poczynienia uwag towarzystwu technicznemu w Krakowie. Komisya przychyla się jednogłośnie do uwag przewodniczącego przeciw nowo wprowadzonemu do języka przymiotnikowi „życiowy“, uznając zupełną jego niewłaściwość, a nadto zbyteczność wobec przymiotnika „żywotny“, a w razie potrzeby, samego rzeczownika „życie“ w dopełniaczu; n. p. „sprawy żywotne“, „potrzeby życia“. Wyraz życie jest takimże rzeczownikiem słownym, jak „picie, mycie, bicie“, jak więc nie ma przymiotnika: „piciowy, myciowy, biciowy“, tak też prawa etymologiczne przeciwne są utworzeniu wyrazu „życiowy“. Jest to nieudolne naśladowanie rossyjskiego „žitjelskij“. Na wniosek przewodniczącego postanowiono poprosić zbierających materyały do słownika staropolskiego, aby dokonane dotychczas wypisy komisyi tutejszej nadesłać raczyli, inaczej bowiem niepodobna byłoby nabrać wiadomości, jak daleko praca postąpiła i co jeszcze do zrobienia pozostaje, przez co i dokończenie rozpoczętego dzieła uledzby musiało zwłoce nieograniczonej. W końcu prof. Malinowski podał wiadomość o zabytkach języka staropolskiego, znajdujących się w Pradze czeskiej. Z charakterystyki języka danej przez p. Malinowskiego okazuje się, że nawet zabytki piśmiennictwa polskiego z XV. wieku nie są wolne od wpływów czeskich.

Wydział historyczno-filozoficzny odbył w tych dniach posiedzenie, na którem prof. dr. Heyzmann czytał swą rozprawę: „O ustawodawstwie kościelnem i o azylach“. Autor podawszy przyczyny, które go skłoniły do napisania tej rozprawy, między innemi zajmowanie się tą kwestyą w dzisiejszej literaturze zagranicznej a głównie brak pracy w literaturze ojczystej i wymieniwszy źródła, z których czerpał, podał rozkład swej pracy na epoki: przedchrześcijańską i chrześcijańską, podnosząc główną różnicę, jaką przedstawiała instytucya azylów w tych dwóch okresach. Wydzielił następnie kwestye, których dotykać nie zamyśla i objawił zamiar wyłożenia czysto kościelnego zapatrywania się na przedmiot rozprawy. Upatrując w epoce przedchrześcijańskiej u Żydów, Rzymian, Greków i Germanów kierunek zabezpieczenia tylko czasowego, podniósł, iż epoka chrześcijańska z wyższego zapatrywała się stanowiska, chociaż i w tej pierwotnie wyłącznie interes skarbu, stosunki społeczne, kościelne albo sprawy natury policyjnej były uwzględniane, a dopiero później stosowano instytucyę tę do ustaw karnych powszechnych, przez co kościół powstrzymał ich okrucieństwa i zapobiegał wymiarowi przez lud sprawiedliwości doraźnej. — Na posiedzeniu administracyjnem Wydział potwierdził obiór dra. Józefa Rollego na członka komisyi historycznej.

KRONIKA.

— Hrabia Artur Potocki w Krzeszowicach zakupił świeżo kilka obrazów sympatycznego naszego artysty, p. Andrzeja Grabowskiego, a między niemi piękny znany z wystawy tutejszej portret matki artysty.

— Na pomnik Adama Mickiewicza mający stanąć na Wawelu, zebrała dotychczas krakowska czytelnia akademicka, zajmująca się tem pięknem dziełem, ogólem 2659 zlr. 17 ct. które złożone są w krakowskiej kasie oszczędności. W sumie powyższej mieści się 820 franków, które przesłał w tych dniach na ręce rektora wszechnicy, komitetowi pomnikowemu, prezes rady towarzystwa historyczno literackiego w Paryżu, hr. Władysław Czartoryski wraz z pismem następującem, które przytaczamy celem zainteresowania szerszych kół publiczności sprawą godną wdzięcznego narodu, jaką jest zamiar uczczenia pomnikiem największego z poetów jego: Młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego dochód z wieczorów urządzanych w rocznicę śmierci Adama Mickiewicza, przeznaczyła na posąg jego, mający być wzniesionym w Krakowie, ponieważ zaś wpływające z tego źródła od latu kilka fundusze, o wiele jeszcze wystarczającemi nie są, odezwała się przeto do rodaków, prosząc, aby także w przedsięwzięciu jej udział wziąć chcieli. Wskutek tego Rada Towarzystwa hist. lit. w Paryżu wezwala członków jego, aby choć skromną składką zaświadczyli współczucie swoje dla tego pomysłu młodzieży naszej. Gdy hr. Ksawery Branicki 500 franków ze swojej strony na ten cel także przeznaczył, mamy zaszczyt przesłać przy niniejszem JWPanu powstałą tym sposobem kwotę w ilości 820 franków, którą racz panie Rektorze złożyć do skarbony przyszłego Mickiewiczowskiego pomnika. Niech szlachetna młodzież nasza, której przewodniczysz, ma w tem dowód serdecznej pociechy, z jaką widzimy, że ona co z wytrwałością od twardej i sumiennej nieuchyla się pracy, otaczając miłością pamięć wielkiego wieszcza narodowego w epoce tak często pomawianej o racjonalizm i materjalizm, przechowuje zarazem cześć idealu i najlepsze tradycje młodzieży wileńskiej. Chciej przyjąć i t. d. Paryż dnia 7. marca 1878 r. *Władysław Czartoryski* prezes, *Bronisław Zaleski* sekretarz.

— Na wystawę sztuk pięknych w Warszawie nadeszły w tych dniach następujące obrazy: Alkimowicza Kazimierza „Turczynka“, tudzież „W wiejskim ogródku“, Horowitza Leopolda „Portret autora“, Maleckiego Władysława „W marszu“, Ryszkiewicza Józefa „Po wojnie“, oraz Swiszewskiego Aleksandra pejsaż „Z okolic Reichenbak i Berchtesgaden“. W sali rzeźby umieszczono trzy nowe popiersia, wykonane z gipsu przez Lwowianina, Kazimierza Ostrowskiego, mianowicie nieboszczyków: Leopolda Kronenberga, Maurycego Potockiego i Mogilnickiego. Obraz Siemiradzkiego „Dyogenes“ ma być tam wystawiony na rzecz rodziny po rysowniku „Tygodnika ilustrowanego“ Franciszku Tegazzie, równie jak „Iwan Groźny“ Matejki i wielki jakiś obraz Makarta.

— Warszawski znany krytyk muzyczny p. Kleczyński miał w tych dniach w Warszawie zajmujący odczyt o wykonywaniu dzieł Szopena

— W Kopenhadze odbyć się ma w tym roku uroczystość jubileuszowa na pamiątkę założenia tamtejszego uniwersytetu, istniejącego tam już lat 400. Wiele uniwersytetów europejskich będzie reprezentowanych na tym obchodzie. Nie zaproszono tylko Niemców.

STATYSTYKA.

W roku 1878 było w Galicyi 140 stacyj telegraficznych zostających pod bezpośrednim zarządem Dyrekcyi, przy których urzędowało 348 osób. W stacyach tych było ustawionych 239 aparatów systemu Morsego, a 7 aparatów systemu Hughesa, razem tedy 246 aparatów. Bateryе elektryczne składały się z 3708 sztuk elementów. Liczba depesz oddanych na wszystkich stacjach wynosiła 462.118, liczba depesz przybyłych 533.369, a przetelegrafowanych 1,443.109 sztuk, razem 2,438.596 telegramów. Dochód ryczałtowy obliczono na 262.996 złr. Z końcem roku 1878 wynosiła długość wytycznej rządowych linij telegraficznych 4055.84 kilometrów, długość zaś drutu 8678.71 kil. Daty powyższe obejmują rządowe stacye telegraficzne; oprócz stacyj rządowych, jest jeszcze w kraju 119 telegraficznych stacyj kolejowych z własnem urządzeniem, upoważnionych do załatwiania korespondencyj telegraficznych, tak rządowych jakoteż prywatnych. Zarządy kolei żelaznych posiadają linie telegraficzne dla własnego użytku, których długość wytycznej wynosi 1557.73 kil. a długość drutu 3529.99 kil. Doliczywszy stacye i druty kolejowe do rządowych, otrzymamy z końcem 1878 roku 259 stacyj łączonych w linie, których długość wytycznej wynosiła 5613.57 kil. długość zaś drutu 12,208.70 kil.

NEKROLOGJA.

— W Petersburgu umarł w tych dniach inżynier i badacz dziejów Edward Kotłubaj, autor „Życia Janusza Radziwiłła“ i „Galerji nieświezkiej portretów Radziwiłłowskich“, przeżywszy lat 56.

— W Nowym Yorku zakończył niedawno życie mąż wielkiej szlachetności umysłu, tak zwany „apostoł pokoju“ Eli Burrit, który przez całe życie słowem i czynem szerzył ewangieliczną ideę pokoju i miłości bratniej. Dzieła jego p. t. „Listki Oliwne“ rozeszły się w milionach egzemplarzy po całym świecie.

DROBNOSTKI.

— W Nowym Yorku ma być założona ze składek prywatnych wszechnica dla murzynów i kreolów, w celu ukształcenia nauczycieli dla ludności murzyńskiej.

— Nad biblijnem morzem Martwem w Palestynie pewien chemik angielski założył fabrykę i ze znacznym zyskiem wyrabia wapno chlorkowe z wody tego legendowego jeziora.

— W jednem z miasteczek górnoszląskich niedawno temu obwiesił się pewien zamożny, sędziwy już gospodarz, jedynie z tego powodu, ażeby nie potrzebował dać żonie pieniędzy na najważniejsze sprawunki domowe.

— W Warszawie powstała myśl wystawienia pomnika grobowego w kościele św. Krzyża, dla genialnego muzyka a rodaka naszego Fryderyka Szopena, którego serce jest zachowane w pomienionym kościele. W tym celu dyrektor warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, Władysław Żeleński, zamierza w marcu r. b. urządzić wielką uroczystość muzyczną, z której zebrany dochód posłużyłby do urzeczywistnienia tego zamiaru.

— Towarzystwo telefonowe (*Bell Telephone Company*) sprzedało dotąd 20.000 telefonów w Ameryce i obecnie, wedle dziennika „*Electrician*“, wyrabia ich tygodniowo 400. Z początku przyrząd ten używany był jedynie na liniach prywatnych. Od wiosny jednakże roku 1877, p. Coy Newhawen, ajent powyższego Towarzystwa, urządził z wielkiem powodzeniem biuro telefoniczne, tak zwane „*Exchanges-System*“. Z biura centralnego druty, niby promienie, rozchodzą się do domów i zakładów abonentów, z których każdy za pośrednictwem owego biura znosić się może telefonicznie z każdym innym abonentem. Sposób to wielce dogodny, który wszystkie większe miasta amerykańskie zaczynają zaprowadzać u siebie. Na rozwój handlowych interesów w miastach oddzielnych telefon wywrze więc wpływ podobny jaki kiedyś wywarł telegraf pomiędzy odległejszemi miejscowościami. Wiele linii prywatnych, na 15 do 30 wiorst długich, jest już tam obecnie w użyciu; spodziewają się wszakże rozciągnąć je do 20 mil geograficznych.

PRZEMYSŁ

— W dobrach Gzichów i Tucznobaba oraz Rokitna w powiecie Będzińskim, odkryto pokłady węgla i rudy ołowianej, w głębokości 28 stóp pod powierzchnią ziemi. Pokład węgla kamiennego ma przeszło dwie stopy grubości. Obok rudy ołowianej znajduje się także pokład galmanu.

PAMIĘTNE ZDARZENIA.

— W nocy na 12. marca straszna powódź z powodu wiosennego wylewu rzek Cisy i Maroszy zniszczyła główne, przeszło 70.000 mieszkańców liczące miasto południowych Węgier, „perłę“ ziemi Alföldzkiej, Szegedyn i jego okolice. Przeszło 5.000 domów mieszkalnych, a kilka tysięcy budynków gospodarskich legło w gruzach, a z górą 2.000 mieszkańców utraciło życie w nawale wzburzonych szalonym wichrem wód. Bezprzykładna ta katastrofa może mieć jeszcze smutniejsze następstwa, ponieważ woda nie może odpłynąć z zalanych obszarów, a zdaniem inżynierów przed połową maja nawet przy użyciu wszystkich pomp parowych, jakiemi rząd węgierski rozporządza, nie da się odprowadzić. Przyczyną strasznego nieszczęścia, które w całej Europie wywołało najżywsze współczucie i pobudziło do ofiar na rzecz dotkniętych niem mieszkańców, jest wadliwy system regulacyi rzek wspomnionych.

— Z dniem 13. b. m. zwinięto za zgodą lekarzy kordon wojskowy, który opasywał osadę Wetlankę — gniazdo dżumy nadwołżańskiej, ponieważ od dni już 40 nie zdarzył się tam wypadek podejrzanej choroby.

Rozmaitości.

Cedry Libanu które mają pamiętać jeszcze czasy króla Salomona, są niezaprzeczenie drzewami najstarszemi na całej kuli ziemskiej. Obecnie nie ma ich już więcej jak siedm sztuk, gdy za panowania Hirama, króla Tyru, cały Liban miał być niemi okryty. Hiram, jak to czytamy w Starym Testamencie, kazał ścinać owe cedry dla króla Dawida, na jego pałac i świątynię w Jerozolimie. Harris cytuje w swojem dziele, że podróżnik Ballon w r. 1550 znalazł tychże jeszcze sztuk 28, Schultz w r. 1755, sztuk 20, a Richardson w r. 1818 zastał już tylko sztuk siedm. Lamartine który zwiedzał Syrję i Palestynę od roku 1832 do r 1833, tak cedry opisuje:

„Drzewa te, są to najstarożytniejsze pomniki uświęcone równocześnie przez religję, poezję i historję. Pismo Ś. często o nich wspomina. Prorocy używają drzew tych do swoich obrazów i porównań. Już król Salomon pragnął użyć ich do swojej świątyni, bez wątpienia dla tego, iż i wtedy miały one pewien urok wielkości i świętości u ludów ówczesnych. Arabowie wszelkich sekt okazują drzewom tym cześć wielką i nawet wierzą, że posiadają one duszę nieśmiertelną. Odwieczne olbrzymy panują w regjonach gdzie ustaje prawie wszelka roślinność. Z każdem stuleciem zmniejsza się ich liczba i obecnie znajduje się jeszcze siedm, które można posądzić, że na nich patrzano i podziwiano za czasów Salomonowych. Pomniki tylu wieków upłynionych, gdyby mówić mogły, opowiedziałyby nam o licznych państwach wymazanych z powierzchni ziemi, o religjach powstałych i później zaniechanych, o tylu pokoleniach, które w tym czasie żyły i umierały. W koło tych dumnych starców stawiących dotąd groźne czoło wszelkim burzom i nawalnicom, rozwija się młody las cedrowy. Co roku ludność okoliczna religji chrześcijańskiej zbiera się na górze Libanu w miesiącu Czerwcu, by tamże mszy S. wysłuchać.“

Nawet mahometanie, którzy w ogóle żadnych relikwi nie szanują, nie dotkną się cedru ostrym instrumentem. Utrzymuje się między nimi legenda, że człowiekowi, który ściął raz drzewo cedrowe na górze Libanu, wszystko bydło wyginęło. Stare cedry Libanu mają wysokości 20 do 33 metrów, a grubości 10 do 13 metrów. Ich pnie odwieczne służą za księgę podróżnikom. Wszyscy, którzy te miejsca zwidzają, wypisują na ich korze nazwiska swoje.

Krytyk jakich mało. Temi czasy w pewnem towarzystwie jeden z obecnych utrzymywał, że przekład poemaciku, którego tytułu nie mamy zamiaru powtarzać, nie jest dość poprawnym. Autor przekładu znajdował się tam przypadkiem i miał pracę swoją w kieszeni. Wszczęła się naturalnie polemika zatruwająca humor całego zgromadzenia. Niefortunny krytyk musiał dowodzić swego zdania czarno na białem. Proszę mi tu znaleźć jaką bądź niepoprawność wołał rozgorączkowany tłumacz. Słowo się rzekło, trzeba było szukać. Wiadomo, że w pewnym podnieconym nastroju umysłu trudno znaleść nawet przedmioty w oczy bijące, cóż dopiero niepoprawności wiersza. Naprożno więc biedny dręczyciel poety z wytężoną uwagą wpatruje się w harmonijne trocheje, błędy zniknęły gdzieś jak zaklęte. Już damy poczynały uśmiechać się złośliwie, gdy nagle — cudowne odkrycie! — Napisał pan tutaj wyraźnie deszcz „zmulił ulicę“ — mówi krytyk tonem imponującym. — Muł nic jest błotem ulicznem, to specjalny rodzaj błota, naniesiony przez wylewy wód. — Nie, drogi panie! — odpowiada poeta z przekąsem — muł jest to każde błoto. — Zobaczymy w Lindem! — Przyniesiono Lindego. — Może pan pozwoli, ja poszukam. — Nie panie, dziękuję za wyręczenie, zaraz znajdę. — Krytyk pewny siebie, przerzuca kilkadziesiąt kart, podnosi książkę w górę i czyta głosem grzmiącym jak trąba archanielska: „Muł, potomek klaczy i osła, albo konia i oślicy.“ Który z nich był koniem a który osłem?

Frak i cylinder. Mimo kaprysów mody, która kocha się w ciągłej odmianie, dwie części ubrania męskiego pozostają od dawna nietknięte i prawdopodobnie długo jeszcze zmianie nie ulegną. Mamy na myśli frak i cylinder. Nazwa pierwszego pochodzi od łacińskiego fractus a słowo to oznacza coś niecałego, skróconego; nazwa drugiego odnosi się do figury geometrycznej. W ubiegłem stuleciu, najpierw oficerowie francuscy, potem niemieccy i hiszpańscy nosili surduty z połami podpinanemi, aby łatwiej jeździć konno, które były prototypem fraka dzisiejszego. Dopiero podczas wielkiej rewolucji ubior ten otrzymał prawo obywatelstwa i stał się powszechnym w całym świecie cywilizowanym. Na zgromadzeniu notablów w roku 1787, posłowie stanu trzeciego, pojawili się bez wyjątku we frakach nie mających żadnych ozdób a ponieważ oni właśnie starali się o zniesienie przywilejów, więc od tego też czasu frak stał się symbolem wolnomyślności. Za Terroryzmu był on nawet jedynym strojem dozwolonym warstwom wykształconym. — Przez lat 40 utrzymywał się frak jako strój państwowy i towarzyski i zaledwie takim zmianom ulegał, że robili go bądź ze sukna czarnego, tabaczkowego lub granatowego. Dopiero odkąd zaprowadzono koleje żelazne, przestał być tak bardzo rozpowszechnionym, podróżni bowiem, dla których nie był ubiorem zbyt dogodnym, zastąpili go zwyczajnym surdutem. Mimo to znaczenie fraka nie tylko przez to nie upadło, lecz nawet się podniosło. Odtąd został on strojem czysto oficjalnym. Niejednokrotnie mu wojnę wydawano, nazywając go ubiorem niepraktycznym i niepięknym, a Prusacy, którzy pokonawszy Francję w roku 1870 naiwnie przypuszczali, że staną na czele cywilizacyi świata, chcieli go koniecznie z Niemiec wyrugować i zastąpić go surdutem długim, podobnym do uniformów wojskowych. Frak śmiał się jednak z ich pyszałkostwa i przetrwał ich wątpliwej wartości tryumfy.

Co do kapelusza wysokiego zwanego cylindrem, o tem mówią, że przyszedł z Chin. Podróżnicy zapewniają, że Chińczycy używali dawniej takiego głowy nakrycia, ale w kolorach najrozmaitszych. Pewien francuski fabrykant, nazwiskiem Duport, wziął od Chińczyka, który do Europy przyjechał kapelusz, zdjął model dokładny i począł robić takie same kapelusze, które się nadzwyczaj podobały; wkrótce też został miljonerem. Działo się to przed 50 laty. Z Francji, jak w ogóle wszystko, dostał się także i cylinder do innych krajów europejskich i dziś stan cywilny, tak samo jak bez fraka i bez niego także obejść się nie może. Frak i cylinder są to więc prawdziwi bracia mody.

Kaczka dziennikarska. Zkąd się wzięło to powiedzenie? — Za pierwszego cesarstwa we Francji, mistyfikacje wszelkiego rodzaju były na porządku dziennym. „Mały Kapral“ (tak żołnierze nazywali swoje bóstwo, Napoleona I.) w biuletynach o swoich bitwach ułożył je prawie w system; mimo że bez dodatków i przesady, były częstokroć bajecznemi zwycięstwa przez niego odnoszone. Żyjący podówczas w Brukseli genialny pisarz nazwiskiem Cornelissen, chciał za pomocą humorystycznego obrazka położyć koniec bajkom dziennikarskim i niejako stworzyć zwierciadło, w którem by przesada się odbić mogła. W tym celu umieścił w jednym z dzienników następującą anegdotę:

„Jak wielką jest żarłoczność kaczek, uczy nas doświadczenie, które zrobiono z dwudziestoma kaczkami. Brano co dzień po jednej, siekano mięso z niej wraz z kośćmi i piórami, i rozdzielano następnie tę siekaninę między kaczki pozostałe, które chciwie ją połykały. Tym sposobem została się w końcu jedna tylko kaczka utuczona krwią i mięsem sióstr swoich.“

Anegdotę połykały chciwie wszystkie dzienniki, jak owa straszna kaczka siekaninę z sióstr jej zrobioną. Gdy obiegła całą Europę, we dwadzieścia lat później wypłynęła w Ameryce z dodatkiem „że ową kaczkę na żywe oczy widziano“ a nawet świadek miał być przy sekcji trupa tego potworu pierzastego.

Wreszcie przestano przeżuwać po dziennikach historję o kaczce, lecz odtąd nazwę „kaczki“ dawano wszelkim nieprawdopodobnym wiadomościom dziennikarskim, które, jak owa kaczka potworna, opływają nieraz świat cały, to tu, to tam się pojawiając.

Lubisz pan Rossiniego? — zapytała pewna dama jednego ze swoich gości, który udawał, że jest wielkim miłośnikiem i znawcą muzyki. — „O! i bardzo! — odpowiedział. — Rossini jest kompozytorem, którego cenię najwięcej.“ — A znasz pan dobrze jego „Cyrulika?“ — Nie mam ani przyjemności, ani potrzeby znać tego pana, ponieważ sam się zawsze golę.

Amator dzieci. — Lubię dzieci gdy płaczą — rzekł prawdziwy miłośnik dzieci. — „Czy być może? — zapytał ktoś zdziwiony — za co je pan lubisz wtedy?“ — Bo je zaraz wynoszą.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.